



Lucy Clark



Ponowne spotkanie

Tytuł oryginału: One Life Changing Moment

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Podążając górskim szlakiem, John Watson z uśmiechem słuchał opowieści jednego z towarzyszy wyprawy. Wyruszyli o szóstej rano, by spenetrować kilka jaskiń i trochę się powspinać. Był brudny i zmęczony, ale szczęśliwy. Dawno nie miał tak udanego dnia.

– John, co ty na to? – zapytał Stephen Brooks.

John spojrzał na kolegę. W szpitalu w Katoombie pracował niespełna pół roku, a weekendowe wyprawy w Góry Błękitne stały się dla niego niecierpliwie wyczekiwaną atrakcją. Zastanawiał się, czy aby za bardzo nie polubił i tego miejsca, i ludzi, z którymi przyszło mu pracować. Musi zachować dystans.

– Przepraszam, nie usłyszałem. – Zatrzymał się, by poprawić linę przewieszoną przez ramię. – Spójrzcie na ten widok.

Przed nimi czerwienie, róże i oranże zachodzącego słońca zaczynały przebijać przez błękitną mgiełkę. Pod nimi rozpościerało się zielone morze listowia poprząskane żółtymi skałami. Jakże odmienny pejzaż dla chłopaka z Anglii.

– Właśnie dlatego powinieneś przyjąć propozycję stałego zatrudnienia w naszym szpitalu – wyjaśnił Stephen.

– Mógłbyś chodzić po górach i jaskiniach, ile dusza zapagnie.

– To bardzo kuszący bonus – odezwał się Oliver, szwagier Stephena. – Dobry szpital, wspaniali ludzie... – Oliver uśmiechnął się szeroko. – Mnóstwo atrakcji, a do tego tylko dwie godziny jazdy z Sydney. Możemy nawet poprawić jakość herbaty w szpitalu. I załatwić ci osobistą porcelanową filiżankę ze spodeczkiem, żeby zadowolić twoją brytyjską wrażliwość.

– Tylko nie przesłódź! – John wybuchnął śmiechem. Stephen i Oliver nie po raz pierwszy namawiali go, by został w Katoomba Hospital, a po tak udanym, pełnym wrażeń dniu propozycja ta wydała mu się kusząca.

Nieoczekiwanie ten idylliczny nastrój przerwał pisk opon dobiegający gdzieś z pobliskiej szosy meandrami przecinającej zbocze. Wszyscy trzej wstrzymali oddech, modląc się w duchu, by za chwilę nie rozległ się szcęk gniecionej metalu. Niestety, echo tego koszmarnego odgłosu przetoczyło się nad nimi.

– To tam – powiedział Oliver.

– Jesteś pewien? – zapytał Stephen, ale Oliver już przedzierał się przez zarośla, zbiegając ze zbocza.

John ruszył za nim. W myślach przepowiadał sobie niezliczone możliwe scenariusze.

Gdy wypadli na drogę, poczuł swąd spalonej gumy i mdły zapach paliwa. Co sił w nogach pognali w kierunku sedana, który przebiwszy barierkę, wbił się w drzewo. Rzucili na pobocze cały ekwipunek, Stephen jednak zostawił sobie torbę lekarską i przez komórkę wzywał służby ratunkowe.

Wraz ze szwagrem ruszyli do drzwi od strony kierowcy, więc John podszedł z drugiej strony. Ku jego zdziwieniu drzwi auta były otwarte. Rozejrzał się, by zobaczyć, co stało się z pasażerem.

– Jedna osoba się wydostała – poinformował kolegów.

– Kierowca jest zakleszczony – odparł Oliver. – Ma przygniecione nogi. Rasy go utrzymały, ale trzeba będzie obciąć kolumnę kierownicy, żeby go wydostać.

– Wy też czujecie zapach benzyny? – zapytał Stephen.

– Ja czuję – odparł John.

Byli członkami górskiego pogotowia, więc doskonale wiedzieli, jak należy postępować w takim przypadku.

– Halo! – zawołał John, odchodząc od wraku, podczas gdy koledzy skoncentrowali się na ocenie stanu kierowcy.

– Ktoś mnie słyszy? Jest tu ktoś?

Odpowiedział mu zdławiony krzyk, o kilka tonów za wysoki, by mógł to być mężczyzna.

– Halo! Gdzie pani jest? Chcę pani pomóc!

– Tutaj...

W końcu dostrzegł pasażerkę. Miała długie jasne włosy i długą niebieską sukienkę, która teraz odsłaniała jej nogi. Siedziała pod drzewem. Ciężarna!

– Który tydzień? – zapytał.

– Trzydziesty drugi.

– Ma pani skurcze?

Spojrzała mu w oczy.

– Wydawało mi się, Brytyjczyku, że wystarczy panu zduszony krzyk i to, jak staram się zapanować nad oddechem.

Uśmiechnął się nieznacznie.

– Na imię mi John. Jestem lekarzem. Czy mogę...? – Wskazał na jej brzuch.

– Zapraszam, doktorze Johnie. – Przyłożyła jego dłoń do napiętego brzucha.

– Ile było tych skurczy?

– Pięć.

– Co ile minut? – Zerknął na złoty zegarek na jej ręce.

– Liczyła pani?

– Co trzy minuty. Bardzo silne i już mam ochotę przeć. Byłoby dobrze, gdyby miał pan przy sobie salbutamol.

Uniósł brwi.

– Ile razy już pan rodziła?

– To moje pierwsze.

– Jest pani pielęgniarką? Położną?

– Lekarzem.

– Lekarzem?

– To pana dziwi? Już od dawna kobiety są lekarzami. Trzymając dłoń na jej brzuchu, spojrzał na jej kostki.

– Stanu przedrzucawkowego nie stwierdzam. Miała pani skurcze przed wypadkiem? – Teraz liczył jej puls.

– Tylko skurcze Braxtona Hicksa, ale to normalne, poza tym to jeszcze co najmniej sześć tygodni, więc się nie przejmowałam.

Widać było, że stara się oddychać spokojnie i miarowo, by się zrelaksować na ile to możliwe.

– Muszę przynieść kilka rzeczy z zestawu lekarskiego

– powiedział, ale gdy wstał, kobieta chwyciła go za rękę, spoglądając na niego wzrokiem pełnym strachu.

– Co... co z moim mężem? – Potrząsnęła głową. – Spojrzałam na niego, ale na ten widok zrobiło mi się niedobrze. Musiałam wysiąść... On...?

– Są przy nim moi koledzy. Obaj są lekarzami. Zrobią wszystko, żeby go ratować.

Nieco uspokojona oparła głowę o pień drzewa i zamknęła oczy, ale nie puszczała jego ręki.

– Jak pani na imię? – Przyklął obok.

– Mackenzie. – Zaciśnęła zęby. – Chyba nasza trzyminutowa

pogawędka dobiega końca. – Jeszcze mocniej wpiła palce w jego dłoń. Oddychała szybko, by zapanować nad bólem, przekazując mu całe napięcie. Nie miał nic przeciwko temu, ale przez tkaninę jej sukni zauważył, jak jej brzuch się napina.

– Parcie – mruknął, ale gdy skurcz zelżał, otworzyła oczy, by spiorunować go wzrokiem.

– Wiem, że to parcie – warknęła – ale nie udało mi się go powstrzymać – jęknęła, jakby już była zbyt zmęczona, by kontynuować.

Rozumiał jej zdenerwowanie, tym bardziej że oboje zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji. Narodziny wcześniaka to nie lada problem nawet w warunkach szpitalnych, a co dopiero w buszu.

– Daj mi pójść po torbę. Obawiam się, że nie mamy salbutamolu, ale na pewno mamy tlen, chociaż nie wiem, czy pomoże. Choroby serca? Problemy z oddychaniem?

– Nie. Idź już po tę torbę. – Otworzyła oczy, a gdy już się oddalał, zawołała: – John, powiesz mi, co z Warickiem?

– Oczywiście.

– Kłóciliśmy się – wyszeptała, a gdy podniosła dłoń do warg, zauważył, że jej palce drżą. – Chciał, żebym poszła z nim na biznesową kolację. Nie miałam ochoty, bo marnie się czułam, ale nalegał. Powiedział, że głupio będzie wyglądało, jak przyjdzie bez żony, więc się zgodziłam. Potem był zły, jechał za szybko i na tych zakrętach...

– Rozplakała się, więc znowu ukląkł przy niej i znowu wziął za rękę.

– Cii... To nie twoja wina.

– Ale ja wrzeszczałam, że źle się czuję i... Gdyby nie zwolnił, zabiłby nas oboje. – Przytulił ją. – On... wygląda potwornie – szlochała. – Nie byłam w stanie mu pomóc... musiałam...

– Myślałaś o dziecku. To naturalne. Instynkt macierzyński. – Już mu się wydawało, że się uspokaja, gdy przyszedł kolejny skurcz, więc jedną ręką ją obejmował, a drugiej o mało mu nie zmiądzzyła.

Kiedy skurcz odpuścił, osunęła się na niego, znajdując chwilowe oparcie w jego objęciach. Dobrze jest po prostu być przytulanym, czuć, że ktoś się nami opiekuje.

Czasami nie chciała nic więcej, niż tylko znaleźć się w czyichś objęciach, usłyszeć, że będzie dobrze. Od dziesiątego roku życia przez egoizm rodziców żyła w rodzinach zastępczych, a to oznaczało, że miała niewiele okazji polegać na innych.

– Wszyscy cię zawiodą – oznajmiła kiedyś Bergane jedna z jej „sióstr zastępczych”. – Musisz być silna i twardo do stąpać po ziemi. I nie ufać nikomu.

Te słowa mocno zapadły jej w pamięć. Zabrało jej wiele lat, by zrozumiała, że mimo wszystko czasami musi komuś zaufać, że sama sobie w życiu nie poradzi.

W trakcie studiów trzymała się z grupką dziewczyn zupełnie innych od niej, ale ostatecznie połączyła je przyjaźń, która przetrwała lata. Potem, kiedy na stażu harowała dzień i noc, poznała Waricka. I zaryzykowała, ulegając jego namowom, żeby za niego wyszła.

Teraz Warick walczył o życie w roztrzaskanym aucie. Czując zapach benzyny, uciekła jak najdalej. Skurcze kazały jej rozważyć mnóstwo scenariuszy, wraz z tym najgorszym, że zaraz urodzi wcześniaka, który nie przeżyje bez profesjonalnej opieki.

Ale usłyszała męskie głosy, a chwilę później zjawił się John. Duży i silny, który tulił ją jak największy skarb. John, który się nią opiekuje, podczas gdy jego koledzy uratują Waricka. Wiedziała, że wezwą pomoc, że ta

pomoc już jedzie. Musi wytrzymać...

– Pójdę po leki – szepnął. – Zaraz wrócę. Odpoczywaj. Ani się obejrzysz, jak będę z powrotem. – Uśmiechnął się tak ciepło, że poczuła, że dotrzyma słowa.

– Okej. – Patrzyła za nim, czując bijącą od niego siłę. I że ta pożyczona siła pomoże jej przetrwać.

Nie miała pojęcia, czy John ma żonę i dzieci. Wiedziała Jedyne, że jest lekarzem, który ma wspaniałe podejście do pacjenta oraz zniewalający uśmiech. I że w krótkim czasie nie tylko zaczęła na niego liczyć, ale wręcz mu ufać.

ROZDZIAŁ DRUGI

– Możemy zaczynać. – Mackenzie weszła do sali operacyjnej, gotowa zająć się kolejnym pacjentem. – Pani Windslow wymaga otwartej redukcji i wewnętrznego zespolenia lewej piszczeli. – Przyjrzała się zespołowi. – Zdaję sobie sprawę, że jesteście już zmęczeni, ale to jest ostatni zabieg na naszej liście. Bierzmy się do roboty.

Nie była to jedyna noc, kiedy z powodu karambolu na autostradzie pięć sal operacyjnych pracowało pełną parą. Mackenzie wezwano wieczorem, a dochodziła piąta rano, gdy jej zespół kończył zabieg osteosyntezy. Ból karku, który od początku dyżuru starała się ignorować, stawał się nieznośny. Już niedługo skończy. Potem obchód wcześniej operowanych. I jeszcze trzeba odebrać małą Ruthie. Słodkie całusy córeczki zawsze osładzały zwariowane godziny pracy.

W sali znajdowali się ludzie, których znała oraz których widziała po raz pierwszy. Mimo że wszyscy byli ubrani tak samo, swoich rozpoznawała po oczach. Anna, pielęgniarka operacyjna, miała oczy jasno niebieskie, Pavlov, anestezjolog – piwnożółte, Sonny jej podopieczny szykujący się do specjalizacji – brązowe we, czasami niemal czarne. W tej chwili nie było ważne, kto podaje jej instrumenty, bo operacja dobiegała końca i niedługo wszyscy nareszcie rozjadą się do domu.

– Przepraszam – odezwała się jedna z instrumentariuszek, trzymając w ręce komórkę. – Esemes dla Sonny’ego. – Popatrzyła na chłopaka, który właśnie w skupieniu dokręcał jedną ze śrub.

– Nie możesz odebrać? – zapytała Mackenzie.

– Hm... Od jego żony. Właśnie przyjęli ją na porodówkę. Rodzi.

– Co? – Sonny niemal wypuścił z rąk śrubokręt. Mackenzie wyjęła mu go z ręki i przekazała Annie.

– Idź – powiedziała.

– To już sam koniec, więc...

– Lada chwila zostaniesz ojcem. Myślę, że nie chciałbyś przegapić ani jednej sekundy.

Przypomniały się jej okoliczności, w jakich Ruthie przyszła na świat. Gdyby nie John Watson, uznałaby, że była to najgorsza noc w jej życiu. To on przyjął poród i on poinformował ją, że Warick nie żyje.

Otrząsnęła się. Gdy Bergan przyjechała do szpitala dziecięcego w Sydney, John zniknął. Od pięciu lat nie miała z nim kontaktu. Czasami o nim myślała, ale chyba nikt nie chce wspominać najtragiczniejszych chwil w swoim życiu. Przeżyła i jak wielu jej podobnych usunęła to wspomnienie w najdalszy zakamarek pamięci.

– Poradzimy sobie – powiedziała, czując, że wypadło to bardziej szorstko, niż zamierzała, bo Sonny ciągle się wahał. – Sonny, idź już. I nie zapomnij przysłać mi esemesa. Chcę znać szczegóły.

Gdy Sonny w końcu opuścił salę operacyjną, westchnęła. Niedługo Ruthie zarzuci jej rączki na szyję. Świat dalej się kręci.

– Okej, kto przytrzyma ostatni element gwoźdźca, żebym mogła go przykręcić?

– Ja mogę – odrzekł niski męski głos, przyprawiając ją o dreszcz. Już gdzieś słyszała podobny głos...

Zaschło jej w ustach i zaczęło szumieć w uszach, gdy podnosiła wzrok na stojącego przed nią człowieka w masce. O hipnotycznym spojrzeniu.

– Mackenzie... – Anna podawała jej śrubokręt.

Głucha na wszystko wpatrywała się w najbardziej niebieskie oczy pod

słońcem. Tych oczu nigdy nie zapomni. Owiał ją zapach suchych liści, potu, benzyny.

Kłóciła się z Warickiem. Prosiła, żeby zwolnił. Koszmarny zgrzyt gnieczonego metalu. Widok zakrwawionego Waricka wgnieczonego w kierownicę. Ból w dole brzucha. Skurcz. Mdłości, które zmusiły ją do opuszczenia auta i nagłe olśnienie, że rodzi. I że będzie sama... Znowu.

– John? – wyszeptała. Wracały koszarne wspomnienia, a ona czuła, że kolana się pod nią uginają.

Na oślep odwróciła się ku najbliższej stojącej osobie. Zanim osunęła się na podłogę, usłyszała jego głos:

– Trzymaj ją!

Po ostatnim skurczu, któremu towarzyszył rozdzierający krzyk, opadła na nosze i czekała.

– Dziewczynka – oznajmił John, podczas gdy ratownik oczyszczał drogi oddechowe noworodka i robił wszystko, by utrzymać dziecko przy życiu, dopóki nie dotrą do szpitala.

– Jak daleko jesteśmy? – John zwrócił się do ratownika.

– Mniej więcej dwie minuty.

– Mów, co się dzieje – zażądała Mackenzie. – Chcę wiedzieć.

Ratownik spojrzał na Johna, kręcąc głową, ale John czuł, że ma do czynienia z kobietą bardzo silną. Poza tym jako lekarz znała wszystkie możliwe scenariusze, więc należało spełnić jej życzenie.

– Staramy się udrożnić drogi oddechowe. W skali Apgar cztery punkty. Jest maleńka, ale prawidłowo uformowana. – Przez cały czas usuwał śluz z ust i nosa dziecka. – Tlen! – rzucił ratownikowi, po czym owinał małą kocykiem i zaczął ją osłuchiwać. – Płuca zajęte. Szmer w sercu. Zawiadomiłeś neonatologa?

– Tak – odezwał się Greg. – Czeka z inkubatorem.

– Okej.

– Kto to jest Greg?

– Neonatolog. Pracowaliśmy razem w szpitalu dziecięcym. Jest świetny. – Miał nadzieję, że to nieco uspokoiło Mackenzie, bo jej córeczka potrzebowała całej wiedzy Grega.

Ledwie karetka podjechała pod drzwi szpitala, maleństwo Mackenzie przeszło w ręce obcych ludzi.

– John! John, co się dzieje?

Błyskawicznie znalazł się przy niej.

– Przejął ją Greg i jego zespół. Położą ją do inkubatora, a ciebie przewieziemy na położniczy.

– Mogę sama pójść. – Usiadła na wózku.

– A ty dokąd?! – Przytrzymał ją za ramię. – Jestem ortopedą, który nie odbiera porodów, ale wiem, że masz leżeć i nie protestować. – Spojrzał jej w oczy. – Sam cię odwiozę na położnictwo. I będę ci pomagał.

Czuła, że John dotrzyma słowa. Trzymając go za rękę, przestała się bać. Położyła się i zamknęła oczy.

– Możemy jechać – usłyszała, a wkrótce potem znalazła się na oddziale położniczym.

Podczas gdy John zbierał informacje na temat jej dziecka, z pomocą pielęgniarki wzięła prysznic i przebrała się w szpitalną koszulę, wyrzucając niebieską suknię, którą Warick kupił jej wkrótce po ślubie.

Zamierzała wstać z łóżka, by zobaczyć, co dzieje się z jej córeczką, kiedy do pokoju wszedł John.

Rzuciła mu pytające spojrzenie.

– Oddycha, ale nie jest dobrze.

– Mogę ją zobaczyć?

– Oczywiście. – Podał jej szpitalny szlafrok. – Masz już imię dla niej?

– Tak, ale Warickowi się nie podobało.

– Jakie?

– Ruthie. Miałam przyrodnią siostrę o tym imieniu, ale Warick się nie zgadzał.

– Wiedziałaś, że to będzie dziewczynka?

– Nie. Chciałam, żeby to była niespodzianka. Warickowi zależało na chłopcu, więc wybierał tylko męskie imiona. – Chciała wyjść jak najszybciej, ale ze zdziwieniem stwierdziła, że prysznic bardzo ją zmęczył. – Masz jakieś wiadomości o...?

– Nie, ale jak czegoś się dowiem, zaraz ci to przekażę. – Znowu ta obietnica w jego głosie, jakby nie zamierzał niczego przed nią ukrywać. – Chodźmy do twojej córeczki.

W drodze na oddział noworodków mocno ścisnęła jego dłoń.

– Jest źle?

– Greg sugeruje operację. Z powodu komorowej wady serca.

– To znaczy, że będzie przewieziona gdzie indziej.

– Tak Greg w tej chwili rozmawia ze szpitalem dziecięcym w Sydney.

– Jadę z nią.

– Oczywiście.

– Nie będziesz mnie przekonywał, że mam tu zostać? – zapytała zdziwiona.

– Twoje wyniki są dobre, jesteś lekarzem i znasz zasady, ale przede wszystkim to twoje dziecko. – Przeszył ją spojrzeniem. – Musisz być przy nim.

Do świtu może stracić nie tylko męża, ale i dziecko, pomyślał,

współczując jej z całego serca. Domyślając się, co dzieje się w jej głowie, postanowił zrobić wszystko, by ją wspierać.

– Ale co z Warickiem?

– Będziemy informowani na bieżąco.

– My? – Przystanęła. – Masz zamiar jechać ze mną do Sydney?

– Tak.

– To znaczy, że z moim maleństwem jest bardzo źle.

– Nie jest dobrze.

– Ale... ty mi pomożesz? I nie będziesz zadawał żadnych pytań? – wykrztusiła. – Tak po prostu?

Ujął jej dłonie.

– Mackenzie, bywa i tak, że los styka obcych ludzi tylko po to, żeby dodawali sobie otuchy. Wiem, co czujesz.

– Popatrzył na ich dłonie, po czym przeniósł wzrok na nią.

– Och, John... – Zamrugła, by powstrzymać łzy.

– Mackenzie, pomogę ci. Możesz na mnie polegać. – Mimo że mówił cicho, wyczuła jego determinację. – Teraz chodźmy do twojej ślicznej Ruthie.

– Mackenzie...

– John? – wyszeptała.

– Jestem tu. – Jego brytyjski akcent był muzyką dla jej uszu. – Już dobrze...

Odetchnęła z ulgą, słysząc ten głos. W ciągu minionych lat często go wspominała. Był jej opoką w najtrudniejszych chwilach, a nie miała sposobności mu podziękować.

– John? – Przed oczami stanęły jej obrazy z przeszłości. Gdzie jest? Co się dzieje? Przecież nie siedzi pod drzewem i nie ma żadnych skurczy.

Nie znalazła się w szpitalu jako pacjentka. Jest lekarzem ortopedą w

szpitalu w Queenslandzie i całą noc stała przy stole operacyjnym. Kończyli ostatnią operację, kiedy wyszedł Sonny, a potem popatrzyła ponad stołem operacyjnym i...

Usiadła tak gwałtownie, że mało brakowało, a zderzyliby się z Johnem głowami.

– John...? – Nie dowierzała własnym oczom..

– Halo! – Klęczał przy niej, promiennie się uśmiechającej

– Co się stało? Gdzie jestem? – Rozejrzała się. Siedziała na podłodze w przedsionku bloku operacyjnego.

– Zemdlałaś.

– Dlaczego? Jak to...? Co ty tu robisz? – zasypała go pytaniami, gdy podnosił się z klęzek. Moment później do pomieszczenia wpadła Anna.

– Tak się martwiłam! Co się stało?! Nigdy jeszcze nie zemdlałaś. Chyba nie jesteś w ciąży? – gdakała niczym kwoka nad kurczęciem, jednocześnie rozwiązując troczki fartucha Mackenzie.

Mówiąc o ciąży, spojrzała na Johna, który tylko uniósł brwi. Mackenzie zbyła to pytanie milczeniem, za to zapytała o operowaną pacjentkę.

– Dokończyłem zabieg – odezwał się John. – Pani Windslow jest już w sali pooperacyjnej.

– Jak długo byłam nieprzytomna? – Niezdarnie podnosiła się z podłogi. John rzucił się ją podtrzymać.

Odzyskawszy równowagę, natychmiast się od niego odsunęła, by uspokoić rytm serca. Skąd te nerwy? Z zażenowania? Z niepewności, jak się zachować wobec mężczyzny, który przeprowadził ją przez najmroczniejsze chwile życia? Który widział jej słabość starannie ukrywaną przed innymi?

– Mniej więcej przez kwadrans – odrzekła Anna. – To do ciebie niepodobne, ale z drugiej strony, to był bardzo ciężki dyżur i pewnie nic nie

jadłaś. – Podała jej drewniaki porzucone w przedsionku kilkanaście godzin wcześniej.

– Myślę, że herbata dobrze ci zrobi – orzekł John. – Wiem, że to bardzo angielskie podejście, ale my, Anglicy, Wierzymy, że herbata jest dobra na wszystko.

– Tak, kubek mocnej słodkiej herbaty – przyznała Anna, spoglądając z troską na Mackenzie. – Wygląda niewyraźnie. Tak, proszę ją zabrać do bufetu i napoić mocno posłodzoną herbatą.

Nie odrywał wzroku od Mackenzie. Zorientował się że jest przyczyną jej konsternacji i zaczął sobie wyrzucać, że nie zawiadomił jej o przyjeździe, zanim wkroczył na blok operacyjny. Ale nie spodziewał się, że Mackenzie zemdleje. Nie znał kobiety silniejszej od niej, więc to, że mogłaby zemdleć, nawet nie przyszło mu do głowy.

Nie tylko sam miał ochotę na herbatę po ciężkim dyżurze, ale też chciał dać Mackenzie sposobność zadania mu pytań, które, jak podejrzewał, kłębiły się w jej inteligentnym umyśle.

Uznał też, że lepiej unikać dotyku, bo gdy pomagał jej podnieść się z podłogi, przeszył go znamienny dreszcz jakiego nie doświadczył od poprzedniego spotkania z Mackenzie Fawles.

Kiedy szli do bufetu, milczał, dając jej szansę kierowania rozmową, jak i wskazania mu drogi.

– Tędy – powiedziała, gdy korytarz się rozwidłał. Szła tak szybko, że nie widział jej twarzy. W końcu zapytała: – To twoja pierwsza wizyta w tym szpitalu?

– Tak.

W bufecie unosił się zapach jajek na bekonie, bo personel zasiadł do zasłużonego obfitego śniadania po ciężkiej nocy.

Mimo że przybył do tego szpitala, by objąć oficjalną funkcję, nie potrafił obronić się przed wspomnieniami.

Przez te wszystkie lata często myślał o Mackenzie zastanawiał się, jak ułożyła sobie życie. Pomagając jej gdy znalazła się w dramatycznej sytuacji, mógł wyciszyć własne wspomnienia miłości i straty. A gdy już nabrał pewności, że ta kobieta pewnie stanie na własnych nogach, usunął się.

– To nie jest herbata – mruknął, maczając torebkę w plastikowym kubeczku.

– Stuprocentowy Anglik z ciebie.

Przeniósł na nią wzrok. Jaka ona piękna. Mimo że miała włosy ściągnięte w koński ogon, zauważył, że są krótsze niż kiedyś. Przybyło jej kilka zmarszczek w kącikach oczu. To dobrze; bo gdy się poznali, nie miała powodu się uśmiechać. A teraz się uśmiecha.

Czy ona też czuje to, co dzieje się między nimi? Czy odsunęła się od niego tam, pod salą operacyjną, wstrząśnięta jego bliskością? Czy z niechęci? Nie lubi go, bo kojarzy się jej z tragedią sprzed lat? Czy to jest coś więcej, coś... nowego?

Gdy jej uśmiech zgasł, zorientował się, że się w nią wpatruje. Przeniósł spojrzenie na kubek z herbatą, żeby jej nie peszyć, żeby znowu się uśmiechnęła.

– Od dawna pracujesz w tym szpitalu? – zagaił, mimo że wcześniej zapoznał się z jej biogramem.

– Przeprowadziłam się tutaj, jak Ruthie wypisano ze szpitala w Sydney.
– Westchnęła. – Po... po tym wszystkim potrzebowałam radykalnej zmiany. Chciałam zacząć nowe życie. Tutaj mam przyjaciół.

– W Sydney też kogoś miałaś. Bergan?

– Tak. Bergan też mieszka tutaj. Poza tym tak się złożyło, że był tu

wakat na ortopedii. Jak się nie ma krewnych, to człowiek stara się otoczyć przyjaciółmi.

– Tacy bliscy bywają lepsi od prawdziwej rodziny.

Upiła łyk herbaty.

– Jako wychowanka licznych rodzin zastępczych mogę tylko otoczyć się ludźmi, którym nauczyłam się ufać.

– A mnie ufasz? – wyrwało mu się.

– Do pewnego stopnia.

Uśmiechnął się.

– Nic się nie zmieniłaś. Podoba mi się twoja prostolinijność.

– Szczerłość. John, ja nazywam rzeczy po imieniu.

– Ale odrobina dyplomacji nie zaszkodzi. – Z obrzydzeniem wpatrywał się w swój kubek. – Paskudztwo. Nie rozumiem, jak można to nazywać herbatą.

W odpowiedzi Mackenzie opróżniła swój kubek, po czym go zgmiotła i pięknym lobem wrzuciła do najbliższego pojemnika na śmieci.

– Piękny rzut.

– Dzięki, snobie herbaciany.

– Tak, jestem snobem herbacianym. Nie wypieram się tego. W poprzednim szpitalu musiałem przynieść swój własny czajnik, filtrowany wodę oraz herbatę z prawdziwego zdarzenia.

Upił łyk i znowu się skrzywił.

– Co to był szpital?

– Adelaide General.

– Dla nikogo nie jest tajemnicą, że w Adelaide woda jest wstrętna. Jak chcesz mieć dobrą wodę, to polecam Canberę...

– Zamierzasz zrobić mi wykład na temat wodociągów w tym kraju?

– Narzekasz na herbatę. – Wbrew niej w jej głosie zabrzmiała nuta irytacji. Zawstydziała się. Ale jak można reagować, kiedy mężczyzna siedzący na wprost niej marudzi z powodu herbaty, a jest tym samym facetem, który pomógł w najtrudniejszych chwilach jej życia?

Bo John Watson spędził z nią wtedy prawie dwie doby. Słuchał jej, wspierał, przytulał, gdy zapłakana opadała z sił. A potem... zniknął. Opiekę nad nią przejęła Bergan, a John zostawił u pielęgniarek notkę. Że wraca do Katoomby i że życzy jej oraz Ruthie wszystkiego dobrego.

– Jesteś na mnie zła. – Poprawił się na krześle.

– Nie, nie jestem zła. Zaskoczona, że widzę cię w moim szpitalu. I stąd pytanie, co tu robisz? A konkretnie, co robisz na moim bloku?

– Wydawało mi się to oczywiste. Połowa zespołu operacyjnego pracowała przez całą noc, więc wezwano posiłki.

– I ty do nich należysz?

– Kiedy skończyłem w piątce, doszły mnie słuchy, że i wy kończycie, więc pomyślałem, że zajrzę do was i może na coś się przydam. I się przydałem.

– To znaczy, że tu pracujesz? – John dopił herbacianą lurę. – Najpierw Góry Błękitne, potem Adelaide, teraz tutaj. Doktorze Watson, jest pan nad podziw mobilny.

– Prawdę mówiąc, po Górach Błękitnych na rok wróciłem do Anglii. Potem pracowałem jeszcze w trzech innych krajach, na pół roku wylądowałem w Stanach, a jeszcze potem w zatrudniłem się Tarparnii, zanim wróciłem do Australii, do Adelaide. Teraz jestem tutaj.

– Ciągle w rozjazdach.

Wzruszył ramionami.

– Lubię poznawać nowych ludzi.

– Albo czujesz się samotny. Dlaczego?

– Przestań. Znowu nazywasz rzeczy po imieniu.

– Chyba słusznie.

– Odpowiada mi tutejszy klimat. Przypomina angielskie lato. Podoba mi się tutaj.

– Wybrałeś to miejsce z powodu pogody?

– Owszem oraz dlatego, że zaproponowano mi tu stanowisko ordynatora ortopedii. Co najmniej na rok.

– Jesteś nowym ordynatorem?

Uśmiechnął się, po czym z błyskiem w oczach zgniótł plastikowy kubek, zgrabnym łobem wrzucił go do kosza, po czym puścił do niej oko.

– Jestem twoim nowym szefem.

ROZDZIAŁ TRZECI

– Dużo lepiej – stwierdziła Anna, gdy spotkały się w damskiej szatni. – Ale powiedz... Te rumieńce to od słodkiej herbaty czy z powodu towarzystwa tego przystojnego faceta? Zabójczo przystojnego.

– Anno, ty masz męża! – ofuknęła ją Mackenzie.

Nie miała ochoty rozmawiać o Johnie. Owszem, przystojny, bezsprzecznie. Ale też jest faktem, że jedno jego spojrzenie przyprawia ją o niebezpieczne palpacje serca. Wcześniej się jej to nie zdarzało, więc wołała nawet nie myśleć, o czym to świadczy.

Często go wspominała: to, jak jej pomagał, jak jej wysłuchiwał, jak wierzył w nią nawet wtedy, gdy traciła wiarę w siebie. Teraz, pięć lat później, nadal nie wiedziała, czy jest żonaty i jakie ma cele w życiu.

– Nie można popatrzeć? – obruszyła się Anna. – Tak, jestem mężatką, ale ty nie jesteś.

– Niepotrzebny mi drugi mąż. Wystarczy, że straciłam jednego.

– Mija pięć lat, odkąd owdowiałaś.

– Wiem.

– Nie powinnaś iść sama przez resztę życia. – Anna dotknęła jej włosów. – Jesteś taka śliczna i los tak cię doświadczył... Zasłużyłaś na szczęście.

– Jeżeli życzysz mi szczęścia, to nie życz mi drugiego męża. Dobrze nam we dwie, mnie i Ruthie. Z czasem naszą rodziną stał się ten szpital. W tej chwili w moim życiu nie ma miejsca dla innych.

Sięgnęła do szafki po lekki żakiecik odpowiedni na zimową lipcową pogodę w Queenslandzie. Zamknęła szafkę i podeszła do Anny, by ją

przytulić. za troskę. – Zerknęła na zegarek. Za kwadrans szósta. – Muszę iść. Po obchodzie na pooperacyjnym i na OIOM– ie będę miała jeszcze godzinę dla Ruthie, zanim odwiozę ją do szkoły.

– Ucałuj ją ode mnie. Wszyscy ją tu kochamy.

Mackenzie uśmiechnęła się zadowolona, że udało się jej uniknąć rozmowy o Johnie Watsonie.

Na oddziale pooperacyjnym ruszyła do stanowiska pielęgniarek, by zapoznać się z uwagami na temat stanu pani Windslow. Zastała tam Johna, który czytał notatki na temat innego pacjenta. Stał tuż przed szafą na dokumenty. Był tak skupiony, że nie zauważył Mackenzie.

– Przepraszam, doktorze, może mi pan podać dokumentację pani Windslow?

Zaskoczony przeniósł na nią wzrok.

– Och, przepraszam. – Wyszukał kartę pacjentki i ze zniewalającym uśmiechem podał ją Mackenzie.

– Dziękuję.

Czuła się dziwnie, stojąc tuż obok niego, podczas gdy za ich plecami krzątała się reszta personelu.

Pięć lat temu był kimś, kto rozumiał, co to znaczy stracić współmałżonka. Troskliwy, opiekuńczy, życzliwy, ale mimo że całkiem inny niż Warick, wtedy nie przemawiał do jej zmysłów tak jak teraz.

A do tego jest jej nowym przełożonym. Pomyślała, że może się znaleźć na nieznanym terenie. Fascynacja szefem to nic dobrego. Musi się zdobyć na neutralność, bo inaczej będzie czuła się tak skrepowana jak w tej chwili.

Nie tylko zjawił się na jej bloku, ożywiając tragiczne wspomnienia, ale ma zostać tu przez co najmniej rok. Gdy w bufecie ją o tym poinformował, wzięła głęboki wdech i mu pogratulowała. Miała nadzieję, że zabrzmiało to

szczerze.

Zdziwiło ją, że wyszedł z bufetu razem z nią.

– Nie musisz mi towarzyszyć – powiedziała, gdy szli w stronę bloku operacyjnego. – Znam drogę.

– Ale ja jej nie znam. Korytarze w tym szpitalu jak w żadnym innym przypominają króliczą norę.

– Chyba kłamiesz.

Wzruszył ramionami.

– Możliwe. Mackenzie, posłuchaj, mogło to zabrzmieć, że się chełpię, ale tak nie jest. Po prostu zaproponowano mi stanowisko ordynatora, a ja je przyjąłem.

– Jasne.

– Mam wrażenie, że dalej mi nie wierzysz. – Milczała. – Dlaczego sama o nie nie wystąpiłaś? Znasz personel, masz odpowiednie kwalifikacje...

– Chwileczkę! – Zatrzymała się. – Skąd wiesz, jakie mam kwalifikacje?

– Przeczytałem biogramy całego oddziału, ale twój zrobił na mnie największe wrażenie. Zaczęłaś pisać doktorat jeszcze na stażu. To ciężka praca.

– I obroniłam go, pracując na pół etatu w prywatnej klinice oraz wychowując dziecko jako samotna matka. – Potrząsnęła głową. – Ech, ci faceci. Dla was chyba dzieci się nie liczą. Dla was najważniejsza jest kariera zawodowa, a dla kobiet priorytetem są dzieci i rodzina. – Dźgnęła go palcem.

– Kobiecie, która chce być matką i żoną, jest o wiele trudniej zostać ordynatorem albo wspinać się po drabinie kariery.

– Zgadzam się. Mam cztery siostry. Wszystkie starsze ode mnie, a kiedy nasi rodzice umarli, jak miałem osiem lat, to one mnie wychowywały. Są bardzo różne, bardzo opiekuńcze i bardzo bezpośrednie. Podpisuję się obiema

rękami pod prawami kobiet i dlatego powiedziałem, że masz wszelkie kwalifikacje, a to że stawiasz Ruthie na pierwszym miejscu, nie dzieje się ze stratą dla oddziału, za to jest z korzyścią dla niej.

Zbił ją z tropu, więc przyspieszyła, ale szybko się z nią zrównał.

– Nieźle się muszę nagłówkować, żeby połączyć obowiązki z jej rozkładem dnia, zwłaszcza kiedy mam dyżur pod telefonem, nie wspominając o nasiadówkach i dodatkowej biurokracji.

– Mogłabyś zatrudnić nianię. Na pewno masz kogoś, kto ci...?

Ponownie przystanęła, rzucając mu złowrogie spojrzenie.

– John, kilka lat temu bardzo mi pomogłeś, nawet przyjąłeś na świat moje dziecko, ale nie wyobrażaj sobie, że to ci daje prawo mówić mi, jak mam żyć. Zdecydowałam, że będę spędzała z moją córką tyle czasu, ile się da. Kosztuje mnie to wiele wyrzeczeń, między innymi awans.

Odetchnęła głęboko, by się przed nim nie skompromitować.

– Praca jest dla mnie tak ważna jak Ruthie – wyjaśniła już spokojniejszym tonem. – Przepraszam, że na ciebie naskoczyłam. Bardzo mi pomogłeś i do śmierci będę ci za to wdzięczna.

– Ale nie chcesz, żebym się wtrącał w twoje życie prywatne, zwłaszcza teraz, kiedy mamy razem pracować?

Westchnęła.

– Nic o sobie nie wiemy. Przed chwilą się dowiedziałam, że twoi rodzice nie żyją i że masz siostry.

– Plus chmarę siostrzeńców i siostrzenic. Jak myślisz, dlaczego wybieram pracę na drugim końcu świata? – Uśmiechnął się tak zniewalająco, że zmiękły jej kolana.

Musi być tak piekielnie atrakcyjny? Taki przesympatyczny? Taki cholernie taktowny?

Z tonu jego głosu wywnioskowała, że uwielbia swoje siostry. Pomyślała o tym z zazdrością.

– Koszmar. Podejrzewam, że mieszają się do twojego życia, bo cię kochają.

– Uhm, nie znasz ich. – Musiała przystanąć, by oprzeć się o ścianę, bo znowu się uśmiechnął. – Mackenzie, posłuchaj. Nie przyjechałem tutaj, żeby cię nękać, ale po to, żeby tu pracować. Źle zrobiłem, zaskakując cię. Chciałem wam pomóc i nie zastanawiałem się, jak to wpłynie na twoje emocje. Byłaś na to nieprzygotowana i za to przepraszam.

Wpatrywała się w jego niebieskie oczy, od czasu do czasu spoglądając na usta. Zanim się zorientowała, że powinna coś powiedzieć, a następnie umknąć do damskiej szatni, podszedł do niej, by odgarnąć jej kosmyk włosów z policzka. Na ten prosty gest zapało jej dech w piersiach, a gdy jego wzrok pociemniał, zsuwając się na jej wargi, zadrżała.

– Hm... – Serce waliło jej jak młotem. – Dzięki – wykrztusiła.

– Za co? – Pochylił się nad nią.

– Hm... za wszystko.

– Za wszystko? – Uśmiechnął się. – Taki jestem fantastyczny?

– Oj, przecież wiesz, za co. – Czują, że powoli odzyskuje władzę w nogach, więc odsunęła się od ściany. John też się cofnął.

Dopiero wtedy oboje zdali sobie sprawę, że prawie flirtują na jednym z najbardziej ruchliwych korytarzy. Mackenzie czym prędzej ruszyła w kierunku przebieralni. Nie „prawie” flirtowali, ale flirtowali naprawdę!

Flirt z Johnem Watsonem! Mężczyzną, który kiedyś wybawił ją z opresji, a teraz jest jej szefem. Stojąc pod prysznicem, by splukać z siebie zmęczenie, usiłowała pogodzić się z myślą, że John ją pociąga.

Do tej pory widziała w nim rycerza, który ją przeprowadził przez

najczarniejsze godziny w życiu. Nieraz ją wtedy obejmował, a ona trzymała go za rękę bez żadnych podtekstów, a nawet z wdzięczności całowała go w policzek. Dlaczego teraz to się zmieniło?

Stojąc obok niego przy stanowisku pielęgniarek na oddziale pooperacyjnym i czytając uwagi, które wprowadził do karty pani Windslow pod koniec operacji, ponieważ chirurg prowadzący zemdłał, miała sobie za złe to zauroczenie. Teraz jednak powinna się skupić na uzupełnieniu sprawozdania z przebiegu operacji do chwili, kiedy spojrzała mu w oczy i straciła przytomność.

Aż jęknęła.

– Co się stało? – zapytał.

– Nie mieści mi się w głowie, że zemdlałam.

– Ta metoda nie gwarantuje udanego zabiegu.

– Co za dzień...

– Kończysz już? Masz po południu dyżur w przychodni?

– Tak.

– A Ruthie? – Zniżył głos. – Kto się nią zajmuje, jak jesteś w pracy? Macie tu punkt opieki dziennej dla dzieci personelu? Jak nie, to się o to postaram.

– Spokojnie, kolego, spokojnie! Mamy, i to fantastyczny. Ruthie do niego uczęszczała, kiedy była młodsza, ale teraz znalazłam opiekunkę, babcię Liz, która jest jak rodzona babcia. – Spojrzała na zegarek. – Jak się nie spręzę, to się po nią spóźnię.

– Jak Ruthie podchodzi do twojego nieunormowanego czasu pracy?

Wzruszyła ramionami.

– Jak każde dziecko samotnego rodzica. Czasami narzeka, ale dopiero kiedy poszła do szkoły, zorientowała się, że inne dzieci mają oboje rodziców.

Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, że jej życie wygląda inaczej. – Odłożyła na bok kartę pani Windslow. – Robię wszystko, żeby jej dzieciństwo układało się lepiej niż moje. Myślę, że to cel każdego rodzica.

– Masz rację. W miarę możliwości rodzice powinni dla swoich dzieci zrobić wszystko.

Czuł potrzebę opowiedzenia jej o swojej przeszłości, ale nie miał w zwyczaju się obnażać. Wiele lat temu, kiedy spotkała go tragedia, siostry odebrały mu wszelką chęć opowiadania o niej, ponieważ nie przestawały o tym mówić, rozkładały to na czynniki pierwsze, i mimo że wiedział, że go kochają, czuł, jakby wyciskały mu cytrynę do otwartej rany w sercu.

I dlatego wybrał wędrowny styl życia. Westchnął.

– Mackenzie... – Ujął jej dłoń.

– Słucham.

– Ja... hm... – Odkaslnął. – Wtedy, kiedy... ci pomagałem i... – Zamknął oczy.

– John, jak nie chcesz, to nie musisz mi mówić.

– Ale ja chcę. – Odetchnął głęboko, potrząsając głową. – To trudniejsze, niż myślałem.

Popatrzył na ich złączone dłonie. Przyłapał się, że kciukiem gładzi jej palce. To samo robił wtedy, lata temu, by dodać jej sił, pomóc jej uwierzyć w siebie, za to teraz poczuł, że ona przekazuje mu te same emocje.

– Mackenzie... – Już miał nakryć ich dłonie drugą ręką, kiedy nadeszła pielęgniarka. Mackenzie błyskawicznie cofnęła rękę. – Serdeczne dzięki, że zechciałaś mi przedstawić materiały dotyczące aktualnych projektów badawczych – powiedział. – Zapraszam do mojego gabinetu – spojrział na zegarek – za dziesięć minut.

Gdy się oddalał, próbowała zrozumieć, co się przed chwilą stało. W

kwestii programów badawczych niczego mu nie obiecywała, ale gdyby faktycznie potrzebował pomocy w tym zakresie, to chętnie mu pomoże. Powinien jednak pamiętać, że ona musi wyjść ze szpitala, by odebrać Ruthie.

Podczas obchodu zastanawiała się, co chciał jej powiedzieć, ale już na oddziale intensywnej opieki medycznej skoncentrowała się na pacjentach, a usatysfakcjonowana ich stanem, wróciła na ortopedię. Drzwi do pokoju Johna były otwarte.

Stał przy biurku, przekładając papiery z miną człowieka, który porządkuje chaotyczny spadek po poprzednim ordynatorze. Przystanęła i z podziwem przez chwilę obserwowała, jak składnie mu to idzie. W kilka sekund na biurku zapanował jako taki ład.

– A miało nie być papierów – mruknął pod nosem. Chyba się poruszyła, bo spojrzał w jej kierunku. – Widziałaś coś podobnego?

Weszła do gabinetu.

– A dziwiłeś się, że nie chciałam objąć tego stanowiska.

– Mądra z ciebie dziewczyna. Od dawna o tym wiedziałem.

Postąpiła kilka kroków w stronę biurka.

– Naprawdę potrzebujesz pomocy przy projektach badawczych?

– Przydałoby się, ale to może poczekać. Nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Chyba się przestraszyłem tej pielęgniarki, więc napędce wymyśliłem pretekst, dla którego stoimy tak blisko siebie i mówimy półgłosem.

– I trzymamy się za ręce.

– Głupio się zachowałem.

– Wyjątkowo głupio.

– Ale teraz... – włożył kilka kopert do teczki, po czym zadzwonił kluczykami – teraz chcę poznać twoją córkę.

- Moją... – Niemal otworzyła usta.
- Ruthie. Pora, żebyś jej mnie przedstawiła.

TTLR

ROZDZIAŁ CZWARTY

– Niby dlaczego? – Zadała to pytanie, gdy już czekał na nią w drzwiach.

Wyszła z gabinetu lekko oszołomiona. Puścił ją przodem, po czym razem ruszyli w stronę schodów.

– Bo chcę ją poznać. Mała Ruthie zajmuje ważne miejsce w moim sercu. Jako ortopeda nieczęsto mam szansę odbierać porody. Wtedy ci tego nie powiedziałem, ale teraz mogę się przyznać, że był to mój pierwszy poród.

– Słucham?! To był twój poród? – obruszyła się. – Pozwolę się z tobą nie zgodzić. To ja rodziłam. Poza tym, jak już ostatecznie się zdecydowała wyjść na świat, miałeś do pomocy ratowników i całe wyposażenie karetki.

– I do tej pory jestem im wdzięczny, że zdążyli.

– Ja też, bo gdybyśmy dłużej siedzieli pod tym drzewem, w buszu i o zmierzchu... – Otrząsnęła się. – Wolę o tym nie myśleć. Dzięki tobie Ruthie jest dzisiaj zdrową, szczęśliwą i moim zdaniem dobrze przystosowaną dziewczynką.

– Takie powinny być wszystkie małe dziewczynki. – W klatce schodowej jego słowa odbiły się echem.

Szli ramię w ramię, tak blisko siebie, że Mackenzie niemal czuła jego ciepło. Oparła dłoń na poręczy, by się skupić na pokonywaniu kolejnych stopni, zamiast na emocjach.

– Ładnie pachniesz. – Mimo że rzucił to mimochodem, poczuła dreszcz na plecach. Ona też czuła korzenny zapach jego wody. – To jakiś kwiat?

– Hm... możliwe. – Nie mogła pozbierać myśli. – Chyba coś innego. Drzewo sandałowe albo wanilia, nie wiem. Dostałam od Bergan na urodziny.

– A, urodziny. – Pokiwał głową. – Kilka tygodni temu?

Odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Znasz na pamięć mój biogram?

– Nie.

– To skąd wiesz?

– Nie zauważyłaś, ile razy pacjenci w szpitalu muszą podawać datę urodzenia? Żeby każdy lekarz miał pewność, że ma przed sobą właściwą osobę. Imię, nazwisko oraz data urodzenia.

W zamyśleniu przytaknęła.

– No tak. W szpitalu dziecięcym w Sydney musiałeś słyszeć to kilka razy.

– Otóż to.

– Zapamiętałaś?

Zbiegł ze schodów, by otworzyć jej drzwi. Kiedy go mijala, nie spuszczał z niej wzroku.

– Ta data zapadła mi w pamięć – wyjaśnił półgłosem.

Atmosfera wokół nich zgęstniała, jakby utknęli w kapsule kompletnie odciętej od świata zewnętrznego.

Dlaczego czas staje w miejscu, gdy ona znajdzie się blisko człowieka, który towarzyszył jej w najczarniejszych chwilach? Owszem, połączyła ich przeszłość, ale teraz, kiedy John ma być częścią teraźniejszości, sytuacja się zmieniła. Wtedy nie było między nimi tak silnego napięcia zmysłowego.

Na moment zawisł spojrzeniem na jej wargach.

– Wszystkiego najlepszego, Mackenzie – szepnął ciepło i serdecznie.

W jego oczach znowu ten błysk tęsknoty. Naprawdę czuje to samo, czy jest tylko czarujący?

– Dziękuję – odparła cicho, wiodąc wzrokiem od jego szyi i wyraźnie zarysowanej szczęki, by w końcu znowu spojrzeć mu w oczy.

Co ją tak w nim pociąga? Jak to nazwać? Jak to możliwe, że stało się to tak szybko?

– Mackenzie... – Jej imię w jego ustach zabrzmiało jak pieszczota. Przeraziła się, że i on czuje to dziwne, ale silne przyciąganie. Gdyby to było tylko jej naiwne marzenie, umiałaby nad nim zapanować.

– Ruthie! Och... Muszę jechać.

– Tak, Ruthie, jasne. Nie masz nic przeciwko temu, żebym ją poznał?

– Nie mam. – Zastanawiała się, jak rozplanować poranek, ale sobie przypomniała, że cały dzień ma zajęty.

– Może jutro?

– Dlaczego nie teraz? Mam czas.

Przystanęła zirytowana, zachowując odpowiednią odległość między nimi.

– Ale ja nie mam. John, jestem zmęczona, nie w humorze i przed szkołą mam dla niej mało czasu. Nie widziałam jej od wczoraj i nie chcę z nikim dzielić tych paru chwil.

Speszył się. Niepotrzebnie naciskał, ale dzięki temu dowiedział się, że Mackenzie jest równie twarda i zdecydowana jak pięć lat wcześniej.

– Rozumiem, przepraszam. – Uniósł dłonie w pojedynczym geście. – Kiedy uznasz za stosowne.

To ją nieco udobruchało.

– Hm... coś wymyślę. Najpierw muszę sprawdzić rozkład dyżurów i wtedy ci powiem.

– Okej, dzięki. – Jego oczy znowu się uśmiechały, a jej przyszło na myśl pytanie, czy pięć lat temu też był taki przystojny?

– Jedź po Ruthie. Życzę wam miłego poranka.

– Dzięki. – Zrobiwszy dwa kroki, odwróciła się, by na niego spojrzeć.

Wyglądał żałośnie.

John Watson? Miała go za twardego jak stal, ale z pewnym opóźnieniem przypomniała sobie, że niedawno przyjechał do Australii i na pewno ma mało znajomych.

– Eee... a ty jakie masz plany na dzisiaj?

Klepnął teczkę.

– Papiery. I kilka spraw do załatwienia.

– Hm... okej. Wobec tego do zobaczenia, szefie.

– Do zobaczenia – odparł z promiennym uśmiechem.

Ruszyła do wyjścia, powtarzając sobie, że nie wolno jej się odwrócić. Nie ma powodu przejmować się Johnem. Tak, zjawił się w jej życiu tak samo nagle, jak z niego zniknął; tak, jest zabójczo przystojny, ale to nie znaczy, że ona ma się nim opiekować. Jest dorosły, a ona musi robić swoje. Pracują razem. Nic więcej.

Zasiadając za kierownicą, wiedziała doskonale, że się okłamuje.

Powoli otwierał drzwi pokoju w hotelu. Zastłony były w dalszym ciągu zaciągnięte, przez co w środku panował mrok. Atmosfera bezosobowego pokoju hotelowego odzwierciedlała jego nastawienie do świata. Obojętny, zdystansowany, sam.

Samotność nigdy mu nie dokuczała. Prawdę mówiąc, przez minione osiem lat polubił swoje osamotnienie, nawet wśród setek ludzi. Pustka, jaka pozostała po jego żonie Jacqueline i córce Mune– hie, bolała coraz mniej, ale one na zawsze Zostaną w jego pamięci, jakkolwiek miałyby się dalej potoczyć jego życie.

Odkąd po raz pierwszy spotkał Mackenzie, zaczął sobie zdawać sprawę, że być może zanadto odcina się od ludzi. Owszem, był zadowolony z pracy w różnych miejscach, z tego, że pomaga ludziom i wywiązuje się z

obowiązków, ale dał się wciągnąć w sprawy Mackenzie, pomagając jej przy porodzie oraz informując ją o zgonie męża.

To wydarzenie mu uprzytomniło, że jeżeli nie zacznie znowu angażować się w to, co się dokoła dzieje, straci kontakt z rzeczywistością. Mackenzie wyobraża sobie, że był jej opoką, ale w rzeczywistości to jej tragiczna sytuacja oraz akceptacja jego osoby sprawiły, że doznał olśnienia – że musi ponownie zainteresować się sprawami doczesnymi.

Przez te lata kilka razy umawiał się z koleżankami lekarkami, ale za każdym razem unikał jakichkolwiek zobowiązań w przekonaniu, że panuje nad swoim życiem... dopóki nie doszło do zderzenia jego świata ze światem Mackenzie.

Gdy kilka dni temu przekazano mu listę pracowników oddziału ortopedycznego Sunshine Hospital, nazwisko Fawles od razu rzuciło mu się w oczy. Gorączkowo przeglądał jej teczkę, by się upewnić, że to ta sama osoba, bo każdemu biogramowi towarzyszyło niewielkie zdjęcie.

W pierwszej chwili był zadowolony i zaintrygowany. Uradowała go też informacja, że jest niezamężna.

Świadomie poszedł na jej blok operacyjny. Nie tylko po to, by się dowiedzieć, czy nie potrzebuje pomocy po kilkunastu operacjach, ale też żeby ją zobaczyć. Już od drzwi stwierdził, że Mackenzie w pełni panuje nad sytuacją. Uśmiechnął się pod maską. To ta sama Mackenzie.

Kobieta z przeszłości. Nic więcej, a mimo to nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak bardzo jej potrzebuje. Pięć lat wcześniej pomaganie jej traktował jak przywilej, ale odkąd spotkał ją teraz, stało się jasne, że dużo się zmieniło... A może ta zatrważająco naturalna chemia była między nimi przez cały ten czas?

Gdy opłakiwała męża, nie odstępował jej. Dobrze pamiętał, jak ją

obejmował, trzymał za rękę, odgarniał włosy z czoła, ale kierowała nim chłodna opiekuńczość. Tak to wtedy czuł. Żadne ukryte motywy nie wchodziły w grę. Po prostu czuł potrzebę, by jej pomóc...

– Była inna od reszty kobiet – mruknął. – Nawet wtedy.

Dlaczego się nie zorientował? Ta iskierka tliła się tam już wtedy, ale ją zignorował. Ona przeżywała największą tragedię swojego życia, a on szczylił się tym, że postępuje niczym angielski dżentelmen.

– Teraz Mackenzie nie jest w dołku.

Podszedł do drzwi, rozsunał zasłony i wyszedł na balkon nagrzany bezlitosnym słońcem. Poczul się tak samo jak wówczas, gdy siedział z nią w zatłoczonym bufecie w szpitalu: jakby rozsuneła ciężką kotarę jego serca i słodkim uśmiechem niczym kluczem je otworzyła.

Oparł łokcie na barierce głuchy na uliczny szum miasta budzącego się do życia. Mało brakowało, a by ją pocałował. Na to wspomnienie tłąca się w nim iskra buchnęła płomieniem. Jakby ta fascynacja miała swoje źródło w przeszłości, fascynacja, którą tłumiał, ale widząc w oczach Mackenzie błysk wzajemności, poczul, że musi się dowiedzieć, dokąd go to zaprowadzi.

To, co go do niej przyciągało, było zbyt silne, by mógł nad tym zapanować, ale widział, że i ją to intryguje.

– Co ja teraz zrobię? – Głośno wytarła nos, gdy czekali na wynik operacji Ruthie. – Mój mąż... – Zawahała się. – A Ruthie... – Potrząsnęła głową, odnosząc dłoń do drżących warg.

John ujął ją za rękę, spoglądając w jej piękne smutne oczy. Mimo że zaczerwienione od płaczu, pełne strachu i niepewności, zachowały intensywny kolor. Wzburzonego oceanu. Jej siłę wewnętrzną poznał podczas porodu.

– Będiesz... – mocniej uściśnął jej rękę – będziesz płakała, będziesz raz

po raz przeżywać to od nowa. Będiesz się zastanawiała, „co by było, gdyby”, ale stopniowo zaczniesz to akceptować.

– Tak to wygląda? – zapytała, nie kryjąc rozpaczy. Potrzebowała kogoś, kto ją zapewni, że sobie poradzi i chociaż może to banalne, wierzył w każde swoje słowo.

– Tak – odparł stanowczym tonem. – Czas leczy rany, ale bardzo powoli.

Przytaknęła, wzdychając.

– Krok po kroku?

– Tak.

– Wobec tego mój pierwszy krok – spojrzała na zegar w poczekalni – to dowiedzieć się, co z Ruthie.

– Będzie dobrze. Ruthie jest waleczna. Jak jej matka. – Uśmiechnął się. – Tego jestem absolutnie pewny.

Okazało się, że miał rację, sądząc po tym, czego dowiedział się od Mackenzie. Ucieszyło go, że zgodziła się, by poznał Ruthie, by jej nowy szef po raz wtóry wtargnął w jej prywatność, bo równie dobrze mogłaby sobie tego nie życzyć.

Zadzwoniła jego komórka. Mackenzie?

– Watson, słucham.

– Doktorze, mówi Prudence, asystentka doktora Leytona. Mam tu jeszcze kilka dokumentów. Dyrektor prosi, żeby je pan przeczytał i podpisał. Prześlę je panu mejlem, żeby się pan z nimi zapoznał, a kurierem oryginały do podpisania.

Rozczarowany opadł na łóżko, wsunął dłonie pod głowę i wbił wzrok w sufit. Dlaczego w kwestii Mackenzie zachowuje się jak uczeń? Chyba z powodu tego jej spojrzenia na schodach, które dało mu do zrozumienia, że

cokolwiek to jest, ona też to czuje.

Leżała w łóżku z jedną ręką pod głową, w drugiej trzymając komórkę. Zadzwoić do niego? Co mu powie? Jak się wytłumaczy z tego telefonu?

– Cześć, John. Chciałam tylko usłyszeć twój niski zmysłowy głos, ten sam, który wspominałam przez te lata za każdym razem, kiedy ogarniała mnie chandra albo miałam zmartwienia, albo po prostu potrzebowałam wsparcia. Tak, twój głos. Ten sam, który pięć lat temu mówił, że jestem wartościowym człowiekiem, że jestem silna, że wytrwam. Ten aksamitny brytyjski akcent, którym mnie przekonywałeś, żebym nie traciła nadziei.

John, ile to razy marzyłam, żeby cię usłyszeć! Czy ty wiesz, że jesteś moim rycerzem? Bywało, że bardzo cię potrzebowałam. Uratowałeś mnie i pomogłeś mi. Nawet nie wiesz jak bardzo, a samo „dziękuję” to za mało, żeby oddać, jak bardzo zmieniłeś moje życie. jęknęła, zaciskając powieki. Przecież nie zadzwoni i mu tego nie powie! To prawda, jego pojawienie się na bloku wytrąciło ją z równowagi, zemdląła na jego widok, ale nie może jeszcze bardziej się kompromitować, dzwoniąc do niego z takim wyznaniem!

Odwiozła Ruthie do szkoły, wróciła do domu i zadzwoniła do szpitala z prośbą o podanie numeru komórki Johna. Bardzo ją to krępowało, mimo że nieraz już prosiła o numery telefonów współpracowników, a zważywszy, że John został jej nowym szefem, nie było w tym nic nadzwyczajnego.

Gdy nagle zadzwonił jej telefon, mało nie spadła z łóżka. Zanim zorientowała się, że jest to melodyjka, którą przypisała Bergan, myślała, że to John.

– Cześć.

– Jeszcze nie śpisz czy cię obudziłam?

– Coś się stało?

– Nie, nie. Po tym koszmarnej dyżurze jestem wykończona, ale teraz

na ratunkowym już jest spokój.

– To dobrze.

– Ale, ale... doszły mnie słuchy, że zemdłałaś. Dobrze się czujesz?

Mackenzie westchnęła zniesmaczona tempem, w jakim plotki obiegają szpital. Z drugiej strony nieczęsto się zdarza, żeby chirurg zemdłał w trakcie zabiegu.

– Nic mi nie jest.

– Za długo byłaś na nogach i pewno nic nie jadłaś.

Mackenzie uśmiechnęła się rozczulona zatroskaniem przyjaciółki. Znały się od lat i to Bergan była jedyną osobą, której mogła się zwierzyć.

– Mam nadzieję, że to jedyna plotka, jaka krąży po szpitalu.

– Jak to? A jaka jest ta druga?

– John Watson.

– Aha... To ten sam facet? Na zebraniu w zeszłym tygodniu była mowa, że nowym ordynatorem ortopedii został niejaki John Watson.

– Jak to?! Gdybyś mnie uprzedziła, tobym nie zemdłała na widok tych oczu w sali operacyjnej pełnej ludzi.

Bergan parsknęła śmiechem.

– Sorry, ale to bardzo pospolite imię i nazwisko. Poza tym byłam zabiegana i...

– Dobrze już, dobrze, wybaczam.

– No...? Jak John Watson prezentuje się pięć lat później?

– Chyba jeszcze lepiej.

– Hm, było na co popatrzeć, co? Ale nie w moim typie. Twój wybawca wraca, zaskakuje cię przy stole operacyjnym i okazuje się ordynatorem twojego oddziału. Na usta ciśnie się pytanie: ile to dla ciebie znaczy? Kenz, omdlenia to nie twoja specjalność.

- Nie wiem, ile to znaczy. Ja... my... były chwile...
- Jakie chwile? Nie rozumiem.
- No... Nie mogę przestać o nim myśleć.
- Naprawdę? – W głosie Bergan dzwięczał zachwyt. – To bardzo interesujące. Ale czy on dał ci do zrozumienia, że dla niego te chwile...?
- Tak – odparła Mackenzie drżącym głosem.
- Bardzo, bardzo interesujące... Co zamierzasz zrobić z tym fantem?
- Nie mam pojęcia. – Mackenzie pokręciła głową.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dwa dni później postanowiła odszukać Johna zaraz po dyżurze w poradni, ale gdy w końcu wyszła z gabinetu, ogarnęła ją trema. Żeby nad nią zapanować, ruszyła na obchód oddziału ortopedycznego.

Wcześniej doszła do wniosku, że lepiej będzie, jeśli jego spotkanie z Ruthie będzie miało miejsce raczej prędzej niż później. Ostatnio widywali się podczas obchodów i odpraw, ale John na szczęście nie naciskał, by wyznaczyła konkretny termin spotkania.

Idąc korytarzem, miała wrażenie, że wszyscy na nią patrzą, domyślając się, po co zmierza w kierunku pokoju ordynatora. W rzeczywistości personel zbierał się do domu. Potrząsnęła głową, zdawszy sobie sprawę, że znowu przesadza. Zapytała sekretarkę, czy szef jest u siebie i czy może do niego wejść.

– Jasne – odparła dziewczyna, sięgając po torebkę i kierując się do wyjścia.

John siedział przy biurku i rozmawiał przez telefon.

– Okej, rozumiem, dziękuję za informacje. – Umilkł. – Tak, trzeba te papiery uporządkować. Dziękuję za pomoc, panie dyrektorze. Do widzenia. – Odłożył słuchawkę.

– Dyrektor generalny sprawdzał, czy już się tu zaaklimatyzowałeś?

– Powiedzmy. Czemu zawdzięczam twoją wizytę?

– Hm... mówiłeś, że chcesz poznać... moją córeczkę, więc... – Zaszło jej w gardle.

– Teraz? – Zerwał się z miejsca. – Jestem gotowy.

– Już? – Jego zapal ją zdumiał.

– Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby, ale gdziekolwiek to będzie, musimy pojechać twoim autem, bo ciągle nie mam czasu, żeby coś sobie załatwić.

– Jesteś tu już prawie tydzień – zauważyła, podczas gdy on wkładał do teczki papiery.

– Ale to był bardzo pracowity tydzień.

– W porządku. Muszę cię jednak ostrzec, że moje auto jest bardzo małe.

– Na pewno się zmieszczę. Idziemy?

– Jeżeli jesteś pewny...

– Jestem absolutnie pewny. Od dawna chcę poznać małą Ruthie – odparł bez wahania.

Wyszła na korytarz i zerknęła w stronę schodów. Na myśl, że schodząc tamtędy, po raz kolejny byłaby narażona na bliskość Johna, uznała, że nie ma na to siły.

– Muszę jeszcze po coś wrócić – rzuciła pośpiesznie.

– Spotkajmy się przed wejściem, dobrze? Za parę minut.

Nie czekała na odpowiedź. Energicznym krokiem ruszyła korytarzem, żeby odetchnąć od jego rozkosznie obezwładniającej bliskości.

Jego gotowość, by poznać Ruthie w tej samej chwili, gdy to zaproponowała, świadczyła o tym, że myślał o tym od dawna, ale jest zbyt dobrze wychowany, by się o to upominać. Nie mogła tego nie docenić.

Można by powiedzieć, że zna go całkiem dobrze. Obejmował ją, trzymał za rękę, a ona opierała mu głowę na ramieniu, wsłuchiwała się w jego aksamitny głos. Za każdym razem brzmiało to szczerze, a ona mu ufała. Mimo to czuła, że wcale go nie zna.

– Trzeba to naprawić – mruknęła pod nosem, zauważywszy go przed wejściem. – Już jestem! Przepraszam, że tyle to trwało, ale... musiałam coś

załatwić, sam rozumiesz – paplała, a on tylko się uśmiechał.

Słońce chyliło się ku zachodowi, zalewając niebo całą gamą barw, od czerwieni przez róże do purpury.

– Pięknie tu – odezwał się John.

– Tak, masz rację. Czują, że to niewystarczająca odpowiedź, więc dodała: – Hm... dlaczego wybrałaś akurat Australię?

– Bo tu mam pracę. Nikogo tutaj nie znam. Oprócz ciebie.

Zrobiła wielkie oczy, ale bez słowa otworzyła samochód. Starła się nie uśmiechać, gdy John złożył się jak scyzoryk, by zmieścić się w środku.

– Niedługo poznam Ruthie – rzucił radosnym tonem.

– Mackenzie, nie wiem, jak ci dziękować, że się na to zgodziłaś. Już się na to cieszę.

Naprawdę się cieszył, nie udawał. Przez te pięć lat jej przyjaciółki Bergan, Regina i Sunainah zachęcały ją, by spotykała się z facetami, więc stała się ekspertem od wyczuwania sztuczności. Kilku facetów było całkiem sympatycznych, ale gdy wychodziło na jaw, że ma dziecko, większość błyskawicznie się zmywała. A John był szczerze zadowolony, że pozna Ruthie.

Ledwie koncentrowała się na prowadzeniu, mając Johna obok. Z kolanami prawie pod brodą.

Przez całą drogę coś opowiadał, kilkakrotnie ją rozśmieszając. Jak on to robi, że jego rozmówca tak szybko czuje się swobodnie? Że nabiera do niego zaufania i czuje się jak najważniejsza osoba pod słońcem.

Ratował ją. Trzymał za rękę, gdy miała skurcze, uspokajał, gdy ogarniał ją strach, przytulał, gdy płakała, dowiedziawszy się, że Warick nie przeżył wypadku.

– Jestem przy tobie, przejdziemy przez to razem.

Nawet sobie nie wyobrażał, jak często w ciągu tych pięciu lat chciała znów usłyszeć te słowa. Nieraz czuła, że sobie nie poradzi. Nieraz leżała w łóżku, z Ruthie tuż obok, marząc, by znowu znaleźć się w ramionach Johna, usłyszeć jego głos, poczuć się bezpiecznie. Potrzebowała jego siły, optymizmu i zapewnień.

Teraz siedział skurczony na fotelu pasażera, a ona czuła do niego zmysłową sympatię. Już sama jego obecność wywoływała promienny uśmiech na jej wargach.

– O co chodzi? – zapytał, gdy zmieniała pas, żeby zjechać z drogi szybkiego ruchu.

Pytająco uniosła brwi.

– Dlaczego tak się do mnie uśmiechasz?

Roześmiała się.

– Bo śmiesznie wyglądasz. Jak cyrkowy klaun. Taki, który wciska się do maleńkiego autka.

Popatrzył na swoje kolana, po czym unióś je wyżej.

– Tak lepiej? Brakuje mi tylko miniaturowego cylinderka ze sterczącym kwiatkiem.

– To się da załatwić. – Potrząsnęła głową zdumiona, jak bardzo John różni się od Waricka.

Jej mąż był uosobieniem korporacyjnego biznesmena. Trzyczęściowe garnitury, robocze lunche, robocze kolacje. Nawiązywanie rozległych kontaktów. Gdy zobaczył coś, co mu się spodobało, musiał to zdobyć za wszelką cenę. I tak zdobył ją. Kusił, mamił, aż uwierzyła, że jest. mężczyzną jej życia. Dopiero po ślubie się zorientowała, że szukał żony lekarki, aby byli małżeństwem profesjonalistów. Żeby mógł przedstawiać żonę jako doktor Fawles.

– Poza tym jesteś fantastyczna. Inteligentna i śliczna. Wszyscy kumple mi zazdroszczą, a szef w końcu zaczął brać pod uwagę mój projekt rozbudowy firmy za granicą.

Dla niego liczyła się tylko praca i wcale nie był zachwycony, gdy mu powiedziała, że jest w ciąży. Za to szef z uznaniem przyjął tę informację, więc Warick w trakcie spotkań towarzyskich odgrywał rolę rozkochanego przyszłego ojca. Jednak na co dzień był w większym stopniu ożeniony z pracą niż z nią.

Arogancki, egoistyczny i zakompleksiony nigdy się nie wygłupiał, nigdy jej nie rozśmieszył. Za to John chce dawać, chce uszczęśliwiać innych, chce pomagać i chce, by inni cieszyli się życiem. Niezależnie od jego motywów, jej bardzo to pomogło.

– Mackenzie, jesteś bardzo silną kobietą – odezwał się, gdy stała nad inkubatorem Ruthie, zastanawiając się, czy jej przedwcześnie urodzone maleństwo przeżyje noc. – Pamiętaj o tym i nikomu nie daj sobie wmówić, że jest inaczej.

Westchnąwszy, skręciła na podjazd przed okazałym budynkiem. Tablica na bramie obwieszczała, że znajduje się tam Przedszkole Babci Liz.

– Wzdychasz – zauważył, poprawiając się na fotelu. Liczyła, że John natychmiast wysiądzie, by rozprostować kości, ale on odpiął pas i spojrzał na nią. – Boisz się mojego spotkania z Ruthie?

– Hm... – Westchnęła po raz drugi, a on wpatrywał się w nią przekonany, że nie zdaje sobie sprawy ze swojej urody.

Pięć lat temu potrzebowała przyjaznej duszy i to, że mógł wtedy być przy niej, uznał za wielki zaszczyt. To jasne, że i wtedy była piękna, ale nie do tego stopnia jak teraz. Pierwszego dnia, kiedy siedzieli we dwoje nad lurowatą herbatą w szpitalnym bufecie, odkrył, że jego zainteresowanie

Mackenzie wcale nie zmalowało.

Starał się wtedy o tym nie myśleć, przypisać to zmęczeniu, ale później, kiedy w korytarzu stała oparta o ścianę, spoglądając na niego szmaragdowymi oczami, zalała go fala pożądania. Ona też to wtedy czuła? Na pewno, bo dwa dni temu na schodach wydarzył się kolejny taki moment. Czy za tą zmysłową chemią stoi wcześniejsza platoniczna fascynacja? Teraz, siedząc w jej aucie, podziwiając refleksy słońca na jej włosach, czuł, jak wali mu serce.

– Mackenzie... – Potarł dłonie, by jej nie dotknąć. Wyraz tęsknoty, zmieszania i zdziwienia w jej spojrzeniu pomogły mu zapanować nad sobą. – Jestem ci bardzo wdzięczny, że się zgodziłaś. Hm... na spotkanie z Ruthie.

– Widzę, że bardzo ci na tym zależy, ale nie pojmuję dlaczego. Rozumiem, się nią interesujesz, bo byłeś przy jej narodzinach, ale...

– Ale co?

– Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że... ma to związek z tym, co zamierzałeś mi powiedzieć przedwczoraj. Pamiętasz? – Potrząsnęła głową, jakby chciała uporządkować myśli. No *cóż*, siedzi tuż obok Johna, a jego obecność zawsze ją dekoncentruje.

– Tak, ma to związek z tym, co chciałem wtedy powiedzieć. – Uśmiechnął się krzywo. – Oprócz tego, że naprawdę czuję z nią szczególną więź. Często o niej myślałem. Zastanawiałem się, jak sobie radzicie.

Czekała, podczas gdy on oddawał się wspomnieniom. Czuła, że musiała spotkać go jakaś tragedia. Przypomniła sobie, jak pięć lat temu spojrział jej w oczy, mówiąc:

– Wiem, co czujesz.

Wie? Zna ten rozdzierający ból? Uczucie, że straciło się kontrolę nad życiem? Tę udrękę i beznadziejny smutek?

– Mackenzie... – Oddychał powoli, nie spuszczać z niej wzroku. – Byłem żonaty.

Przytaknęła, by go zachęcić. Zdobył się na odkrycie kawałka przeszłości, a jej zależało, żeby otworzył się jeszcze bardziej.

– Mieliliśmy córeczkę. Adoptowaną.

Przygryzła wargę, starając się nie myśleć o tragedii, której się spodziewała.

– Moja żona nie mogła mieć dzieci z powodu raka jajników – wyjaśnił.

– Och...

– Pracowaliśmy w Tarparnii, kiedy doszło tam do wypadku, który osierocił Mune–hie. Miała dopiero rok, a krewni nie mogli jej wyżywić, więc ją adoptowaliśmy.

Kiwała głową.

– Dzieci mają ogromny dar budzenia w nas miłości.

– Tak – przyznał. – Jak Ruthie.

– To dla mnie błogosławieństwo.

– Uhm. – Opuścił powieki. – Dużo przeszłaś, bardzo dużo, ale teraz... – Otworzył oczy, po czym ujął jej dłoń. – Jacqueline, moja żona, i Mune–hie... – Zawahał się.

– Nie żyją – dokończyła, by oszczędzić mu mówienia o tym na głos. Ton jego głosu wymownie świadczył, jak bardzo je kochał, a zarazem pomógł jej zrozumieć, dlaczego tak bardzo chce poznać Ruthie.

Odkaszlnął, spoglądając na ich dłonie.

– Mackenzie, rzadko opowiadam o mojej rodzinie. Właściwie nigdy. – Podniósł na nią wzrok. – Ale tobie... Sam nie wiem... To...

– Co innego.

– Tak – rzekł półgłosem. – Dziękuję, że zgodziłaś się, żebym zaistniał w

życiu Ruthie. Wiem, że nie przychodzi ci to łatwo, bo za wszelką cenę starasz się ją chronić.

– John, ile lat...? – Pytania cisnęły się jej na wargi.

– Ile lat miałyby dzisiaj Mune– hie?

– Tak.

– Prawie czternaście. Miała pięć lat, jak umarła.

– Och, John... – Uścisnęła jego rękę. – Trudno mi nawet sobie wyobrazić taką stratę... – wykrztusiła. – Straciłeś obojw. Żonę i córeczkę.

– W Tarparnii wybuchła epidemia.

– O nie. – Jej smutek jeszcze bardziej się pogłębił, gdy wyobraziła sobie, że musiał patrzeć, jak powoli znikają z jego życia, mimo że na pewno robił, co w jego mocy, by je ocalić.

– Mimo że to już osiem lat – patrzył jej w oczy – wcale nie jest mi łatwiej o tym mówić.

– To dlatego tyle podróżujesz? Jedziesz tam, gdzie jesteś potrzebny, żeby pomagać innym, ale jednocześnie żeby się odciąć od reszty świata.

Wzruszył ramionami.

– Chyba tak. Czasami... czasami mam ochotę się zatrzymać, gdzieś osiaść, ale nigdzie... sam nie wiem... nigdzie nie mogę zagrać miejsca.

– Nie zamierzasz wrócić do Anglii? Żeby być bliżej nadopiekuńczych sióstr.

Energicznie pokręcił głową.

– Kocham je, ale one mnie przytłaczają.

– Hm, trudno mi to zrozumieć, bo nie mam pojęcia, co to prawdziwa rodzina. Tułałam się z jednej rodziny zastępczej do drugiej. Kocham bliskość Bergan, Reginy i Sunainah. Stałe miejsce zamieszkania, prawdziwy dom dla Ruthie... ale gdyby coś się stało...

– Nawet o tym nie myśl. – Uwolnił dłoń. – Smutek po stracie Mune– hie noszę w sercu po dziś dzień. Nie ma dnia, żebym jej nie wspominał. Ale staram się pamiętać, ile dała nam szczęścia i dobre czasy, mimo że trwały tak krótko. Tylko dzięki takim wspomnieniom mogę funkcjonować i nieść pomoc innym.

Mackenzie pociągnęła nosem.

– John, dajesz z siebie bardzo dużo. Choćby mnie. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi pomagałeś przez te lata. Jestem ci za to dozgonnie wdzięczna.

– Nie chcę twojej wdzięczności. Chcę, żebyś była szczęśliwa i chyba tak jest.

– Nadal uczę się ufności, ale dzięki tobie jestem coraz bliżej celu.

– Dzięki mnie?

– Wierzyłeś we mnie – odparła z uśmiechem. – Kiedy nad inkubatorem Ruthie modliłam się, żeby przeżyła operację, żeby wyrosła na śliczną dziewczynkę, powtarzałeś, że sobie poradzę. Mówiłeś, że jestem silna i że we mnie wierzysz. – Pokiwała głową. – Dodawałeś mi wiary w siebie i przez te lata ta wiara nieraz pomagała mi w trudnych chwilach.

– Naprawdę? Ja tylko starałem się cię wspierać.

– I wspierałeś. Podtrzymywałeś mnie, gdy potrzebowałam tego najbardziej i chcesz czy nie chcesz, jestem ci bezgranicznie wdzięczna i zawsze będę darzyć cię szacunkiem.

– Długo czekałaś, żeby to powiedzieć – stwierdził.

– To prawda i dziękuję, że nie tylko mam okazję to zrobić, ale i że mnie wysłuchałeś.

Odetchnął głęboko, spoglądając w jej wyraziste urzekające oczy. Oboje dużo przeszli. Opuścił wzrok na jej pełne wargi, lekko rozchylone, kuszące.

Czy to możliwe? Odważyłby się? To oczywiste, że obopólna fascynacja

przybiera na sile, że dzieje się coś nowego, innego, coś, co bardzo chciałby zgłębić. A ona?

Patrzył jej w oczy. W ciasnym wnętrzu samochodu dzieliła ich tak niewielka odległość, że bez trudu mogliby się zbliżyć jeszcze bardziej.

– John... – W jej ustach zabrzmiało to jak pieszczota, a on nie mógł oderwać wzroku od jej warg. Widząc, jak speszona je przygryza, heroicznym wysiłkiem woli powstrzymał się, by jej nie pocałować. – John... – Tym razem jej szept zabrzmiał niepewnie.

John potrząsnął głową, zdawszy sobie sprawę, że być może jest zbyt natarczywy, ale czuł, że po raz pierwszy brakuje mu siły, by stłumić emocje pchające go ku Mackenzie.

– Przy tobie tracę głowę – wyznał prawie niesłyszalnym głosem.

– O? – Zdziwiona szeroko otworzyła oczy, a on musiał zacisnąć dłonie w pięści, by jej nie dotknąć.

Nie mogąc się powstrzymać, zdecydował się odgarnąć jej kosmyk włosów z policzka. Pięć lat wstecz nie było miejsca na takie szalone emocje. W ogóle się tego nie spodziewał, czytając jej biogram. Chciał się dowiedzieć, co osiągnęła przez te lata, spotkać ją, ale nie przyszło mu do głowy, że w tak krótkim czasie zawładnie jego sercem.

Nawet z Jacqueline nie poszło tak szybko. Najpierw razem pracowali, potem się zaprzyjaźnili i dopiero przyjaźń stopniowo zaczęła się przeistaczać w coś więcej. Nie było tak silnej fascynacji jak tym razem.

Spod opuszczonych powiek spoglądał na jej twarz, zaróżowione policzki, nie wspominając o kuszących wargach, nadal lekko rozchylnych, jakby na niego czekały. Serce biło mu tak mocno, że nie był pewien, czy uda mu się powstrzymać.

– Mama!

Odsunął się.

– Słyszałaś? – Rozglądał się wokół.

– Mama, mama!

– O Boże... – Otworzywszy drzwi, Mackenzie chciała wysiąść, ale w pośpiechu zapomniała odpiąć pas bezpieczeństwa.

– Już. – John odpiął jej pas.

– Dzięki. Ruthie! – zawołała, wybiegając się z auta.

Obserwował, jak mała dziewczynka z jasnymi włosami do ramion wpada z impetem w objęcia Mackenzie, która przykucnęła przed samochodem.

– Cześć, mój słodziaku!

Roześmiana Ruthie obsypała jej policzki całusami.

– Stęskniłam się za tobą, skarbie. – Mackenzie porwała ją na ręce, słuchając z uwagą sprawozdania z tego, co się wydarzyło, odkąd się rozstali. Nagle Ruthie zamilkła, widząc, jak z auta matki wysiada mężczyzna.

– A to kto? – Wskazała go palcem.

– Słonko, nieładnie jest pokazywać palcem – powiedziała. Mimo to się roześmiała, widząc, z jakim trudem wysoki mężczyzna gramoli się z nisko zawieszonoego samochodu.

– Z czego się śmiejesz? – dopytywała się Ruthie, gdy nieznajomy ruszył ku nim.

– To jest Ruthie.

– Cześć. Ruthie, miło mi cię poznać.

– Jak on dziwnie mówi – zachichotała dziewczynka.

– Ruthie, to jest mój... kolega z pracy... John.

Starął się nie uśmiechać, rozbawiony jej skrępowaniem. Jaka ona jest czarująca...

– Urodził się w Anglii i dlatego mówi trochę inaczej niż my. – Ruszyła w stronę budynku.

– Fajnie. Też jesteś doktorem?

– Tak.

– I pracujesz razem z moją mamą? Robisz operacje i w ogóle?

– Tak. Opiekujemy się wieloma pac...

– Zaraz, zaraz! – Ruthie mu przerwała. – Pamiętam, jak opowiadałaś mi o człowieku, który miał na imię John.

– Spoglądała to na niego, to na matkę. – I który pomógł ci mnie urodzić.

– Masz rację. – Mackenzie pokiwała głową. – To jest ten sam John.

– Opowiedziałaś jej o tym? – zdziwił się.

– Oczywiście. Każde dziecko ma prawo wiedzieć, w jakich okolicznościach przyszło na świat. Mimo że okoliczności jej narodzin były trochę bardziej... dramatyczne, to jednak jest to jej prawdziwa historia.

– Jesteś tym moim Johnem? – zdumiała się Ruthie. Przyglądała mu się z otwartą buzią.

– Hm... No tak. To ja.

– Mama mówiła, że gdyby nie ty i że gdybyś jej nie pomógł, byłabym naprawdę bardzo chora. To znaczy, że mnie uratowałeś.

Spojrzał na Mackenzie, ale ona tylko wzruszyła ramionami. Jej trudne dzieciństwo tłumaczyło taką potrzebę otwartości w kontaktach z dzieckiem.

– A czy ci mówiła, że najcięższą pracę wykonała sama?

– Nie. – Ruthie miała takie same oczy jak jej matka, duże i zielone.

– Poród to bardzo ciężka praca. – Popatrzył na Mackenzie. – Ale twoja mama była bardzo dzielna. Byłem z niej dumny.

Ruthie mocniej przytuliła się do Mackenzie.

– Bo ona jest najlepszą mamusią.

– Nie mam co do tego wątpliwości.

Weszli do środka po rzeczy Ruthie oraz żeby pożegnać się z babcią Liz. Mackenzie tymczasem się zastanawiała, czy John żałuje, że się nie pocałowali. Atmosfera w samochodzie temu sprzyjała, ale z jego twarzy niczego nie mogła wyczytać.

Przyznał się, że nie potrafi dłużej zagrzać miejsca, że ciągle coś go gna, że szuka nowych miejsc i nowych wrażeń. Czy kryje się za tym decyzja, by nigdzie nie zapaść korzeni po raz drugi? Żeby nie otworzyć serca? Żeby nie zacząć żyć od nowa?

Wiedziała z doświadczenia, jak trudno zacząć nowe życie po stracie współmałżonka, mimo że jej związek nie należał do udanych. Los jednak kazał jej stanąć oko w oko z wielką zmianą, ale mogła skoncentrować się na Ruthie, a John nie miał nikogo.

W drodze do domu Ruthie opowiadała im, w co po szkole bawiła się z innymi dziećmi u babci Liz.

– Chyba było bardzo fajnie – zauważył John. – Co jeszcze dzisiaj robiłaś?

Ruthie się zastanowiła.

– No więc... – Wdała się w długą opowieść o tym, jak w szkole jeden z chłopców z jej klasy śmiał się tak bardzo, że aż mleko mu poszło nosem.

Mimo zmęczenia Mackenzie dziękowała Bogu za tak gadatliwe dziecko. Normalnie po długim dniu pracy prosiła Ruthie, by w drodze do domu dała jej odpocząć, ale tego dnia była jej wdzięczna za tak szczegółowe relacje. Tym bardziej że nie mogła pojąć, jak to się stało, że właśnie wiezie Johna Watsona do swojego domu!

Bardzo rzadko podejmowała gości. Dziewczyny, to znaczy Bergan, Regina i Sunainah, należały do wyjątków. No, ale znały się od dawna.

Na tym polega problem z Johnem. Lata wcześniej w trudnych i tragicznych okolicznościach połączyła ich silna więź, a to znaczyło, że ich znajomość zdecydowanie różni się od tego, co łączy ją z innymi.

Jej dom był jej twierdzą, gdzie mogła się wyciszyć w towarzystwie Ruthie, dlatego więc zajeżdża tam z Watsonem, który skurczony na siedzeniu pasażera gawędzi z jej dzieckiem?

Odkrycie, że łączy ich coś wyjątkowego oraz że oboje zdają sobie z tego sprawę, do głębi nią wstrząsnęło. Nawet kiedy zaczęła się spotykać z Warickiem, nie przenikało ją tak głębokie poczucie... słuszności. A to bardzo poważna sprawa. Nie miała pojęcia, co z tym zrobić.

Zatrzymała się przed jednym z czterech identycznych domów. Ona i Ruthie mieszkały pod numerem drugim, Bergan pod czwórką, a para emerytów pod trójką. Dom z numerem jeden był wystawiony na sprzedaż.

Wysiadła pospiesznie, pragnąc zaczerpnąć świeżego powietrza, które by ostudziło jej pobudzone zmysły. Rób to, co zawsze, przykazała sobie w myślach.

– Nie zapomnij plecaczka – zwróciła się do Ruthie, która trajkotała jak najęta.

Trzymając Johna za rękę, przekonywała go, że koniecznie musi zobaczyć jej piękny amarantowy pokój.

– Wszystkie koleżanki lubią różowy, ale mnie najbardziej się podoba fioletowy. I trochę różowego, bo uważam, że do siebie pasują. John, a jak ty myślisz?

Gdy stanął w drzwiach jej pokoju, jego oczy zaatakowała cała gama fioletów. Pościel, zasłony, ściany. Niemal na całej podłodze fioletowo-różowy dywan z motywem zamku królowej. Nawet moskitiera nad łóżkiem była liliowa.

– Prawdziwy pokój dziewczynki – szepnął, smutno się uśmiechając.

– Chodź coś zobaczyć. – Pociągnęła go za rękę, po czym przykazała usiąść na łóżku.

Przystąpiła do prezentacji swoich lalek.

– A to jest Zoe. – Wyjęła z plecaczka najukochańszą lalkę w sukience aniołka. – Kocham Zoe. Wszystko robimy razem. – Zniżyła głos. – Zabieram ją do szkoły, bo jej się tam podoba, ale pani nie pozwala jej siedzieć na ławce. Mówi, że patrzę na Zoe, a nie na tablicę. Ale mogę się nią bawić w przerwie na lunch. Zoe, prawda, że świetnie się razem bawimy?

Mimo że zwracała się do lalki, John poczuł, że zalewa go fala wzruszenia. Upłynęło dużo czasu, odkąd otaczały go skarby małej dziewczynki, takie same jak te należące do jego córeczki. Wydawało mu się, że pogodził się z tą stratą, rzucając się w wir pracy, ale siedząc teraz na fioletowym łóżku wśród zabawek podobnych do tych, które z Jacqueline kupowali Mune–hie, był bliski łez.

Postawili sobie za cel zrobić wszystko, by jej życie przepelniała radość i miłość. Kupowali najmodniejsze ubranka i zabawki, bo po prostu sprawiało im to ogromną przyjemność.

– Co się stało? – zapytała chwilę później Ruthie, uważnie mu się przyglądając.

– Hm... jak to? – Ściągnął brwi, bo pogrążony we wspomnieniach, nie bardzo jej słuchał.

– Płaczesz.

– Ja? – Dotknąwszy dłonią policzka, wyczuł wilgotną stróżkę.

– John, dlaczego płaczesz?

Mackenzie usłyszała to pytanie, gdy stanęła na najwyższym stopniu schodów. John płacze? Co się wydarzyło, kiedy zostawiła ich samych?

Z miejsca, w którym stała, widziała wewnątrz pokoju córki. John siedział na łóżku, a Ruthie stała na środku, przytulając Zoe. Mackenzie już miała do nich wejść, ale zatrzymały ją słowa Johna.

– Bo twój śliczny pokoik przypomina mi o innej dziewczynce. Ona też lubiła fioletowy.

– Jak miała na imię?

– Mune– hie. W jednym z tutejszych języków to znaczy „mądra i miłująca pokój”.

– Ładnie. Mama mówi, że moje imię znaczy „przyjazna”. I ja taka jestem. Zoe też. Z wszystkimi się przyjaźnimy. – Pocałowała lalkę, po czym znowu spojrzała na Johna. – Mogę ją poznać?

– Kogo?

– Mune– hie.

– Hm... N... nie. Niestety.

– Ala ja bym się z nią zaprzyjaźniła – obiecała Ruthie.

– Ja jestem bardzo miła.

– Tak, wiem, Ruthie, ale... widzisz... hm... Mune– hie umarła. Osiem lat temu.

– Ooo.... – Ruthie pokiwała głową, jakby rozumiała, co to śmierć. – Mój tata też umarł, ale mama mówi, że dostała od niego najwspanialszy prezent. Mnie. – Zerknęła na lalkę, po czym przeniosła wzrok na Johna. – Możesz przytulić Zoe. Ona cię pocieszy. Ona też potrafi być miła.

Mackenzie obserwowała, jak John bierze lalkę i trzyma ją w dużych dłoniach, jakby nie wiedział, co z nią zrobić.

– Przytul ją – poradziła mu Ruthie.

Siedział bez ruchu, wpatrując się w Zoe.

– No nie, powiedziałam, żebyś ją przytulił – powiedziała Ruthie lekko

poirytowanym tonem, więc Mackenzie uznała, że czas wkroczyć na scenę.

Gdy weszła do pokoju, wzrok Johna natychmiast powędrował do niej. W jego spojrzeniu zobaczyła, ból, smutek i rozpacz, ale chociaż niewątpliwie zdążył już pogodzić się z losem, rozmowa z jej córeczką obudziła w nim zagłuszane wspomnienia.

– Co słyhać? – zapytała przesadnie pogodnym tonem. John pospiesznie wstał z łóżka i oddał Ruthie lalkę.

– W... porządku – wymamrotał.

Mackenzie spojrzała na córeczkę, która wyraźnie speszona mocno przytulała Zoe.

– Królewno, umyj ręczki i zejdz do kuchni, żeby nakryć do stołu.

– Ale ja mu pokazuję moje lalki.

– Ruthie, bardzo proszę.

– Okej. – Dziewczynka westchnęła, ale razem z Zoe posłusznie ruszyła do łazienki.

– John, przepraszam. Rzadko mamy gości, a ona jest bardzo dumna ze swojego pokoju i pokazuje go każdemu, kto tu przyjdzie. – Stał bez słowa wpatrzony w lalki.

– Hm, słyzałam, co powiedziałeś. O twojej córeczce.

– Mune– hie... kochała lalki. – Zawahał się. – Jej pokój był pełen falbanek i... – Potrząsnął głową. – Nie mogę...

Mackenzie ściągnęła brwi.

– John, czego nie możesz? – zapytała.

– Tego! – Wskazał na nią, a następnie ramieniem zakreślił łuk obejmujący pokój Ruthie.

– Nie ro....

Znowu potrząsnął głową.

– Mackenzie, przepraszam. Za wszystko.

Wypadł z pokoju, zbiegł na dół i tak szybko dopadł drzwi, że ledwie za nim nadążała.

– John! – zawołała na dworze, ale on był już w połowie uliczki. Zniknął jej z oczu.

TTLR

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Znowu siedział na balkonie pokoju hotelowego, gdy z samego rana ulice Maroochydore tętniły życiem. Wiedział, że jeżeli ma przebywać w tym miejscu przez jakiś czas, musi się zmobilizować i poszukać lepszego lokum. Niestety, odkąd znalazł się na Słonecznym Wybrzeżu, nic nie szło zgodnie z planem.

Mackenzie. Westchnął. Mówiąc jej, że zawróciła mu w głowie, nie żartował. Wątpił, by miotany między pożądaniem, jakie budzi w nim Mackenzie, oraz wspomnieniami wywołanymi przez małą Ruthie kiedykolwiek odzyskał równowagę wewnętrzną.

Nie przewidział, że bezpośredniość oraz akceptacja ze strony dziewczynki otworzy skrytkę, którą lata temu zabił gwoździami. Ruthie okazała się tak słodka i niewinna jak Mune— hie w tym samym wieku, więc nic dziwnego, że się rozplakał.

Powinien zadzwonić do Mackenzie z przeprosinami za to, że tak nagle je opuścił. Uważał się za dżentelmena, ale tym razem zachował się skandalicznie. Wyjął komórkę i wybrał jej numer, ale w ostatniej chwili się powstrzymał, przypomniawszy sobie, że o tej porze wyprawia Ruthie do szkoły.

Westchnął, rzucił komórkę na łóżko i pomyślał, że najlepiej będzie rzucić się w wir pracy. W szpitalu zawsze było coś do zrobienia i chociaż wziął tego ranka wolne, by wypożyczyć samochód oraz rozejrzeć się za mieszkaniem, uznał, że te sprawy mogą poczekać. Najważniejsze, żeby przestał myśleć o Mackenzie.

Wrócił do pokoju, by zebrać do teczki dokumenty, nad którymi udało

mu się wieczorem popracować.

Wziął prysznic i zdążył zamówić śniadanie, gdy jego myśli znowu powędrowały do Mackenzie. Zorientował się, że ma jedno nieodebrane połączenie. Z numerem Mackenzie. Gorączkowo niczym zakochany nastolatek włączył pocztę głosową, by chociaż usłyszeć jej głos.

– Cześć, John... Przepraszam, że ci przeszkadzam. Chciałam się tylko dowiedzieć, jak... jak się czujesz. Jeśli chcesz, możemy porozmawiać. Przepraszam za... za wszystko. Jeszcze raz przepraszam. Jak chcesz, to zadzwoń. Pa!

– Aby ponownie odsłuchać wiadomość, naciśnij jeden

– odezwał się głos nagrany przez operatora.

Robiąc głęboki wydech, nacisnął jeden.

– Mackenzie... – westchnął zły na siebie, że wprowadził w zakłopotanie istotę tak dobrą i oddaną Ruthie. Po śmierci męża wyznała mu, że jej małżeństwo nie należało do udanych, że Warick ją zdradzał.

Nie miał w zwyczaju źle mówić o zmarłych, ale uważał Waricka za skończonego idiotę. Gdyby to on ożenił się z Mackenzie, robiłby wszystko, by ich pożycie było jak najszcześniejsze. Jej miłość byłaby dla niego najcenniejszym darem od losu. Otrząsnął się. Skąd te niebezpieczne myśli?

Kiedy wiadomość nagrana przez Mackenzie po raz drugi dobiegła końca, wyłączył komórkę i położył się na łóżku. Przeprasić ją. Powie „przepraszani” i co dalej? Że wyszedł, bo jej córeczka jest śliczna i żyje, a jego śliczna córeczka nie żyje? Że Ruthie mu pokazała, ile stracił? Jeżeli się do tego przyzna, Mackenzie jak większość kobiet będzie chciała to przedyskutować, a on nie był w nastroju, by rozmawiać o Jacqueline i Munehie.

Wziął do ręki telefon i przyglądał mu się ze świadomością, że powinien

oddzwonić, ale w tej chwili mało się przejmował dobrymi manierami, więc gdy telefon zadzwonił ponownie, tylko patrzył na wyświetlacz.

Ten sam numer co wcześniej. Mackenzie. Zaszło mu w ustach. Chyba nie był gotowy na rozmowę, na roztrząsanie tego tematu, sypanie soli do starych ran. Z zaciśniętym zębami odczekał, aż dzwonek ucichnie, wiedząc, że włączy się poczta głosowa.

Schował telefon, dokończył pakowanie teczek i wyszedł do szpitala. Praca mu pomoże. Zrobi obchód, a następnie będzie się przedzierał przez sterty dokumentów oraz projekty badawcze sponsorowane przez oddział. Niepotrzebne mu rozmowy o emocjach.

W szpitalu udało mu się odwiedzić wszystkich pacjentów, nie spotykając Mackenzie. Nawet zwrócił się do siostry oddziałowej z pytaniem, czy doktor Fawles już przyszła.

– Jeszcze nie, ale spodziewamy się jej lada moment.

Odetchnąwszy z ulgą, że się na nią nie natknął i w dalszym ciągu nie wiedząc, co jej powie, z kartami pacjentów ruszył do swojego gabinetu. Idąc, przerzucał kartki historii pewnego przypadku, Dopiero gdy skręcił w drugi korytarz, dowiedział się, że czytanie i chodzenie nie idą w parze.

– Auu!

Zderzył się z kimś, dokumenty wypadły mu z rąk i rozsypały się na podłodze. Wymamrotał słowa przeprosin i przykucnął, by je pozbierać. Dopiero wtedy podniósł wzrok, żeby zobaczyć, kogo potrącił.

– Mackenzie?

– John!

– Hm... – Zorientował się, że na podłodze leżą nie tylko jego papiery.

– Niezdara ze mnie... – zaczęła się tłumaczyć. – Jakbym nie wiedziała, że się nie czyta, idąc, zwłaszcza tutaj.

– Czarująco się uśmiechnęła.

– Wina chyba leży po obu stronach. Chodźmy do mnie. Żeby z powrotem poukładać te kartki.

– Czemu nie?

Gdy w milczeniu szli korytarzem, Mackenzie dziękowała Bogu, że od jego gabinetu dzieliła ich już niewielka odległość.

– Chyba lepiej nie kłaść ich na biurku – powiedział. – Bo tu ciągle straszny bałagan.

– Racja. Można na wykładzinie – zauważyła, po czym usiadła po turecku na podłodze i zabrała się do segregowania kartek. – Być może kiedyś papier będzie zbędny, ale jeszcze nie dzisiaj. – John przysiadł na wprost. – Trzymaj. To chyba wyniki badań twojego pacjenta.

Siedzieli na podłodze, sortując różne historie leczenia. Gdy wszystko poukładali, John poczuł, że skoro siedzi z nią twarzą w twarz, wypadałoby ją przeprosić za to, jak się zachował poprzedniego wieczoru.

– Posłuchaj, Mackenzie, wczoraj...

– Daj spokój, nie musisz się tłumaczyć. Nie chciałam, żebyś pomyślał, że jestem bezczelna, bo nagrałam ci się aż dwa razy. Przepraszam.

– Wcale tak nie pomyślałem. Ucieszyłem się.

– Naprawdę? Hm, okej. Ale miło mi... no wiesz. – Dlaczego się jąka jak idiotka? Potrząsnęła głową. Nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek będzie siedziała po turecku na wykładzinie w gabinecie Johna. Co takiego w nim jest, że przy nim głupieje i zachowuje się jak pensjonarka? Westchnęła. I dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że od dłuższej chwili milczą.

Czując się nieswojo, szukała w myślach, co powiedzieć. Tak, chciała go zapytać, dlaczego wczoraj uciekł, ale z drugiej strony, bała się przekroczyć pewną granicę przyjaźni. To, że spoglądał jej w oczy tak, jakby chciał ją

pocałować, było bez znaczenia.

– Hm... Ruthie bez problemów poszła do szkoły? – zapytał, jakby i on szukał tematu do konwersacji.

– Tak, oczywiście. Piątkowe poranki są względnie luźne, więc nie musiałyśmy się bardzo spieszyć.

– W inne dni jest trudniej?

– We wtorki przed szkołą Ruthie ma lekcje skrzypiec, a w czwartki dodatkową lekcję czytania. – Ruthie okazała się bezpiecznym tematem, więc Mackenzie zrelaksowana mogła wsłuchiwać się w jego aksamitny głos.

– Lekcje skrzypiec? – Uśmiechnął się, wyobrażając sobie taki recital.

– Uszy bołą słuchać, ale ona to lubi – powiedziała.

Udało się jej na czas odwiedzić Ruthie do szkoły, a potem wziąć prysznic.

Na szczęście Ruthie zadowolila się jej wyjaśnieniem zachowania Johna.

– Ruthie, przecież wiesz, że on jest lekarzem.

– Oj, tak. Ciągle pracuje i pracuje... rozumiem – powiedziała, przeciągając sylaby.

– A jak... – podjął, jakby starając się uniknąć nieprzyjemnej ciszy – jak to wygląda, jeżeli nagły przypadek zatrzyma cię dłużej w szpitalu?

– Mam całą sieć chętnych do pomocy, ale na szczęście dyżur pod telefonem mam tylko raz na trzy miesiące. To dużo ułatwia.

– Jesteś wyjątkowo silna. Wiedziałem to od początku.

– Naprawdę?

– Miałaś siłę wydostać się z wraku i odejść na bezpieczną odległość.

Niewiele kobiet by się na to zdobyło, niewiele potrafi myśleć tak jasno w sytuacjach kryzysowych.

– Jestem lekarzem.

– Tak, to niewątpliwie atut, ale przez te lata w trakcie podróży

widziałem ludzi w różnych sytuacjach i z różnym wykształceniem, ale nikt tak mi nie zaimponował swoją siłą jak ty w tym czasie, kiedy byliśmy razem.

Milczała, nie wierząc własnym uszom w tak piękne słowa. Łzy radości zaczynały ją piec pod powiekami.

– Mackenzie...?

– T– tak... – szepnęła.

– Co ci jest?

– Hm... już bardzo dawno nikt nie powiedział, że we mnie wierzy. Jako produkt systemu opieki zastępczej zawsze byłam tłamszona, wychowywana w negatywnej atmosferze, a małżeństwo z niewłaściwym facetem też nie wpływa budująco na poczucie własnej wartości.

– Niewłaściwy facet? Masz na myśli Waricka?

– Oczywiście – prychnęła. – Z trudem znajdowałam czas na pogodzenie dyplomu z ortopedii z wychowywaniem dziecka, więc tym bardziej w ciągu tych pięciu lat nie miałam kiedy poszukać drugiego mężczyzny, wziąć ślubu i się rozwieść.

– Gwiazdy w Hollywood ciągle tak robią – zażartował, a ona się uśmiechnęła.

– Faktycznie.

– Domyślam się, że twoje podejrzenia się sprawdziły. Zdradzał cię? -

– Sądząc po tym, że cztery czy pięć aplikantek przyszło na jego pogrzeb i wszystkie zalewały się łzami bardziej niż ja, to powiedziałabym, że tak.

– Cztery?

– Nie kryły rozpaczy. Okazuje się, że Warick nigdy nie był mi wierny, nawet na początku małżeństwa. Byłam tylko ładnym dodatkiem. Inteligencja i uroda. Idealną towarzyszką pomagającą mu wspinać się po drabinie kariery prawniczej. – Westchnęła. – Chyba to jasne, że kiedy czasami ludzie prawią

mi komplementy, trudno mi je zaakceptować.

– Wierzyłaś mi pięć lat temu?

– Tak i od tamtej pory ta wiara niesamowicie mi pomaga. John, nie wiem, jak ci dziękować. Chyba nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo zmieniłeś moje życie. Byłeś przy mnie w trudnych chwilach i chociaż chciałam nawiązać z tobą kontakt, choćby po to, żeby informować cię o postępach Ruthie, to uznałam, że jesteś rycerzem, który zjawił się tylko dlatego, że spotkało mnie nieszczęście.

Chyba jeszcze nikt tak szczerze z nim nie rozmawiał.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł przez lekko ściśnięte gardło.

Odwrócił wzrok, czując, że jeśli chwilę dłużej będzie patrzył w jej oczy, straci panowanie nad sobą.

Mackenzie z niemałym zdziwieniem patrzyła na mężczyznę, który potrafi okazywać emocje. No, ale wychowywały go siostry.

– Ale zanim przekształcimy to w towarzystwo wzajemnej adoracji Mackenzie i Johna, to muszę wracać do pracy. – Zgarnęła swoje notatki, po czym podniosła się z podłogi. – Widzimy się po południu w poradni?

Wstał, ale jego papiery zostały na wykładzinie. Nie od razu odpowiedział, więc ruszyła do wyjścia.

– Właściwie...

Spojrzała na niego przez ramię.

– Ee... Czy miałabyś ochotę mi dzisiaj potowarzyszyć? Jeżeli jesteś wolna. Muszę... wypożyczyć samochód i poszukać jakiegoś mieszkania, a ty znasz to miasto, więc twoja pomoc bardzo by mi się przydała.

Ta prośba ją zaskoczyła, ale i uradowała. Oto dostała szansę częściowego rewanżu, a poza tym nie mogła odmówić mężczyźnie, o którym

nie przestawała myśleć. John Watson znowu zaistniał w jej życiu...

– Ale jeśli nie możesz...

– Z przyjemnością ci pomogę.

– Super. To... – Uśmiechał się szeroko.

– Za piętnaście minut przed wejściem?

– Świetnie. – Nie posiadał się z radości, że spędzi przedpołudnie z Mackenzie.

Nielatwo wraca się do życia, zwłaszcza gdy przysięgało się trwać w stanie zawieszenia. Czuł jednak, że czas spędzony z Mackenzie będzie czasem szczęśliwym, a przecież każdemu należy się trochę szczęścia.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Poszło całkiem gładko – stwierdził półtorej godziny później, gdy szli do pobliskiej kafejki.

– Co poszło tak gładko? Wypożyczenie auta czy szaleństwo w galerii handlowej? Chyba w każdym sklepie coś musiałeś kupić.

– Oprócz sklepu dla zwierząt. – Usiedli przy stoliku na zewnątrz, by cieszyć się słońcem. – Na razie.

– Masz zamiar kupić zwierzaka?

– Dlaczego nie?

– Ty, który nie zamierzasz nigdzie zapuszczać korzeni?

– Rzuciła mu sceptyczne spojrzenie.

– Pomyślałem, że ładnie by się prezentowała złota rybka.

Uśmiechnęła się, bo ta wyprawa sprawiła jej większą przyjemność, niż się spodziewała. Po opuszczeniu szpitala John zrobił niezły show, składając się, by usiąść w jej ciasnym autku. Potem zawiozła go do wypożyczalni samochodów, skąd po dwudziestu minutach wyjechał, jak to ujął, „przyzwoitym” samochodem.

– Nareszcie nie będę trzymał kolan pod brodą – wyjaśnił. Potem zaproponował wyprawę do galerii, gdzie kupili pościel, ręczniki, sprzęty kuchenne, a nawet poduszki. – Jak już będę miał kanapę – wyjaśnił – jak znajdę sobie lokum.

Teraz, gdy rozmawiali o złotej rybce, Mackenzie poczuła, że musi nieco wygasić swój entuzjazm z powodu ponownego zjawienia się Johna. Odkąd zniknął z jej życia tak nieoczekiwanie, jak się pojawił, zastanawiała się, co się z nim dzieje. Kilkakrotnie szukała go w internecie, ale trafiała jedynie na

tytuły jego publikacji naukowych. Przeczytała wszystkie.

Nieco po czasie przyłapała się, że porównuje z nim innych mężczyzn. Okazał jej wiele serca, był opiekuńczy i życzliwy, a ona, raz tego doświadczywszy, obiecała sobie, że od tej pory nie zadowolą jej nic innego. Bywało też, że obudzona z cudownego relaksującego snu orientowała się, że to John był bohaterem wszystkich marzeń. Jej John. Jej skrywana miłość.

Siedząc teraz przy kawiarnianym stoliku, zaniepokoiła się, że być może zbyt go wyidealizowała i że prawdziwy John nie dorasta do jej oczekiwań. Odsunęła od siebie te myśli, postanawiając, że teraz ma miło spędzić z nim czas i mu pomagać. Uśmiechnęła się szerzej.

– Złotą rybkę trudno zaliczyć do ulubieńców.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Założę się, że wielu akwariunistów się z tobą nie zgodzi.

– Nie ma takiego słowa – zauważyła ze śmiechem.

– Oczywiście, że jest. Bo je wymyśliłem.

– Nie można ot, tak wymyślać słów.

– Dlaczego?

– No bo... – Wzruszyła ramionami. – Nie wiem. Nie można, bo nikt nie będzie wiedział, o co chodzi.

Pochylił się ku niej, mrugnawszy porozumiewawczo.

– Otóż to. Niech się domyślają.

– Uznają cię za wariata, a taka łątka, śmiem zauważyć, nie przystoi ordynatorowi.

– Boisz się, że mnie zamkną w szpitalu psychiatrycznym?

– Nawet jakby cię zamknęli, będę cię odwiedzać.

– To dobra wiadomość – odparł ze śmiechem.

Wpatrywał się jej w oczy. Boże, jaka ona piękna. Im dłużej z nią

przebywał, tym głośniejszy w jego umyśle odzywały się sygnały ostrzegawcze.

Zatrzymała spojrzenie na jego wargach i spoważniała, a atmosfera wokół nich zaczęła gęstnieć pod wpływem tłumionych zmysłów. Zapragnął, by pochyliła się bliżej niego, by zamknęła dzielącą ich odległość.

Gdy kelnerka przyniosła drinki, był niemal zadowolony z takiego przerywnika. Mackenzie nie należy to kobiet, które bez namysłu skaczą na głęboką wodę. Ona musi rozważyć wszystkie aspekty. Jest ostrożna i rozważna.

To on ma skłonność entuzjastycznie podchodzić do nowych projektów, na przykład do tego przedpołudnia: wynająć samochód i kupić wyposażenie do mieszkania, gdziekolwiek miałyby ono być. Ale Mackenzie to nie projekt. Ona pochopnie nie wda się w romans, a potem z lekkim sercem powie *adieu* akurat wtedy, kiedy on poczuje, że wraca do życia. To kolejna jej zaleta.

– Co teraz jest na twojej liście? Mieszkanie?

– Tak. Masz jakieś propozycje?

– Chcesz kupić czy wynająć?

– Nie wiem. – Dawniej interesował go tylko wynajem, bo po wygaśnięciu kontraktu zamierzał wyjechać gdzie indziej. Tak było, dopóki ponownie nie spotkał Mackenzie. – Masz coś na oku?

– Nie wykluczam. Domyślam się, że blisko szpitala.

– W rozsądnej odległości. Teraz, jak już mam samochód, to mało istotne, ale nie chcę tkwić w korkach.

Kiwała głową.

– W naszej uliczce jest na sprzedaż dom w zabudowie szeregowej, ale od pół roku stoi pusty, więc podejrzewam, że właściciele wolą go wynająć, niż sprzedać.

– Poważnie? Chciałabyś mieszkać blisko mnie?

Odstawiła filiżankę, po czym rozłożyła dłonie, ale zaskoczona, że lekko drżą, szybko wsunęła je pod blat.

– Hm... Jest blisko szpitala, w ładnej okolicy.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebym mieszkał po sąsiedzku? – Oparł dłonie na blacie stolika.

– Dlaczego miałoby mi przeszkadzać, że obok mieszka ktoś znajomy? Poza tym poznałbyś naszych sąsiadów. Kiedyś powiedziałeś, że lubisz zawierać znajomości.

– To prawda – przyznał, uznawszy, że nie zaszkodzi obejrzeć ten dom. – Gdybym tam zamieszkał, moglibyśmy jednym autem jeździć do szpitala, kiedy nam wypadnie ten sam dyżur. – Uśmiechnął się szerzej. – Ale tylko moim.

Roześmiała się. John będzie tu przez dwanaście miesięcy. Kto wie, co jeszcze się wydarzy? Nie zdążyła przemyśleć tego wątku, gdy powietrze przeszył rozpaczliwy krzyk. Oboje spojrzeli w jego kierunku. Na chodniku przed sąsiednią kafejką klęczała kobieta, pochylając się nad małym chłopcem, który się trząsał.

– Pomocy! Ratunku!

Zerwali się od stolika. Wokół matki i dziecka zebrał się wianuszek przechodniów. Mackenzie zauważyła, że jedna z kelnerek bardzo szybko mówi coś do telefonu.

– Dzwoni pani po karetkę? – zawołała do niej, a gdy ta przytaknęła, torowała sobie drogę do chłopca.

– Jestem lekarką! Proszę mnie przepuścić!

Uklękła obok dziecka. Miało około czterech lat, a jego ciałem wstrząsały drgawki.

– Atak – stwierdziła.

– Odsuńcie wszystko, co jest w jego zasięgu. – John zwrócił się do bezradnie stojących gapiów. Przeniósł wzrok na barmankę. – Macie apteczkę?

– Mamy.

– Proszę ją tu przynieść.

Mackenzie spojrzała na przerażoną matkę, która klęczała nad dzieckiem, przyciskając dłonie do piersi.

– Mały bierze jakieś leki?

– N... nie... Nigdy mu się to... – Urwała, bo stopa chłopca kopnęła kubek z napojem pozostawiony na podłodze, ochlapując gapiów.

– Przytrzymajcie go – doradził ktoś z zebranych.

– Włóżcie mu palce do buzi, żeby nie połknął języka – odezwał się ktoś inny.

Mackenzie zignorowała te rady i żeby chronić drogi oddechowe, odwróciła chłopca na bok.

– Jak mu na imię? – zapytała.

– Perry – chlipnęła matka. – Co mu się stało?

– Perry! – zawołała półgłosem Mackenzie, nie zwracając uwagi na zbiegowisko. – Perry! Okej, będzie dobrze. – Przemawiając do chłopca, położyła mu rękę na ramieniu. Poczowała, że drgawki słabną. Trwało to dłuższą chwilę, ale wkrótce rozległ się sygnał ambulansu.

– Cco...? – Chłopiec powoli skupiał wzrok na jej twarzy. Nie poznawszy jej, zaczął rozpaczliwie rozglądać się za matką. – Mamaaa!

Mackenzie spojrzała na kobietę, która z przerażenia dosłownie skamieniała.

– Perry, już dobrze. Jestem doktorem, a mamusia jest tutaj. – Ujrzawszy matkę, chłopiec od razu chciał usiąść, ale Mackenzie go powstrzymała. –

Perry, musisz chwilę poleżeć. – Podniosła wzrok na Johna, któremu kelnerka właśnie podawała apteczkę, i gestem głowy skinęła w kierunku półprzytomnej matki. John dotknął jej ramienia.

– Już jest dobrze. Perry odzyskał przytomność i chce do mamy.

– Słucham?

John wzrokiem wskazał jej syna. Otrząsnęła się, z pewnym opóźnieniem zorientowała, że napad minął i że Perry na nią patrzy. Natychmiast wybuchnęła płaczem.

– Och, Perry, mamusia tak się martwiła...

Widząc, że matka płacze, maluch też się rozplakał. Mackenzie tymczasem wyjęła z apteczki rękawiczki. Na szczęście znalazła się tam też latarka kieszonkowa, dzięki czemu Mackenzie mogła od razu zbadać źrenice chłopca. Takie same i reagujące na światło.

Jak na kogoś, kto właśnie przeżył atak, jego tętno też mieściło się w normie.

– Dobra robota – oznajmił John, puszczając do niej oko. – Karetka już jest na miejscu. Zaraz tu chłopców przyprowadzę. – Oddalił się, a ona miała mu za złe, że tym mrugnięciem wytrącił ją z równowagi.

– Mama... ty mnie rozgnieciesz... – chlipnął Perry, nieco już uspokojony.

– Chce pani, żebym do kogoś zadzwoniła? Żeby czekał na was w szpitalu? – zapytała Mackenzie.

– Do męża. – Podała Mackenzie numer telefonu.

Gdy ratownicy położyli Perry'ego na noszach, Mackenzie opowiedziała matce o atakach padaczki i chociaż nie mogła mieć pewności co do przyczyny, nie mając wyników badań mózgu, zauważyła, że kobieta wyraźnie się uspokoiła.

– Pojedzie pani z nami do szpitala? – zapytała. – Pani tak ładnie się nim zajęła. Ma pani dzieci?

Mackenzie spojrzała na Johna.

– Tak, jedno, trochę starsze od Perry’ego.

– To pani wie, jak to jest. Rozumie pani, że jak z dzieckiem dzieje się coś niedobrego, to dobrze mieć przy sobie kogoś, komu się ufa.

– Oczywiście. Zobaczymy się w szpitalu – zapewnił ją John takim samym tonem, jaki Mackenzie słyszała pięć lat wcześniej. Patrząc za odjeżdżającym ambulansem, nie mogła się powstrzymać, by nie wziąć Johna za rękę.

– Masz wielki dar kojenia ludzkich obaw – zauważyła.

– Nazwałbym to właściwym podejściem do pacjenta.

– Wobec tego twoje podejście jest wyjątkowe.

Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy. Tak, coś między nimi przybiera na sile, ale nie знаła odpowiedzi na pytanie, co z tym zrobić ani co to może być.

John odkaszlnął.

– Może już...

– Jedźmy. – Ale żadne nie ruszyło się z miejsca, nie chcąc zerwać tego, co ich łączy. W końcu jednak, w tej samej chwili cofnęli dłonie.

– Skup się – mruknął, a ona w pełni się z tym zgodziła.

Jeszcze przed weekendem John wprowadził się do domu w ulicze Mackenzie. Wypożyczył meble, a w przeprowadzce pomagali mu Mackenzie, Bergan i państwo Allingtonowie. Ruthie biegała po pustym domu, pokrzykując i ciesząc się echem. Nosila mniejsze rzeczy, na przykład poduszki, książki i inne nietłukące się drobiazgi.

Dołączyli do Perry'ego i jego matki w szpitalu. Chłopiec dostał

skierowanie na tomografię mózgu oraz badanie krwi. Ponadto zatrzymano go noc na obserwację. Chwilowo nie dopatrzono się przyczyny ataku.

– Współczuję tej kobiecie – rzekła Mackenzie, zanim opuścili szpital. – Czasami najgorsza jest niewiedza.

– Na szczęście ich lekarz rodzinny dostanie sygnał, że w przyszłości mogą się ujawnić jakieś schorzenia.

– Perry jest taki... mały. – Westchnęła. – Jak widzę coś takiego, to mam ochotę do końca życia nie wypuszczać Ruthie z objęć.

Rysy Johna stężały.

– Znam to uczucie.

Wziąwszy się pod boki, lustrowała salon Johna,

– Żeby ten pokój wyglądał na zamieszkały, brakuje tu jeszcze rodzinnych fotografii na regale – stwierdziła. Nie mam żadnych rodzinnych fotografii – odparł tak oschłym tonem, że aż na niego spojrzała.

– John, to nie jest żadna aluzja – zastrzegła się. – To tylko taka uwaga – wyjaśniła, karcąc się w myślach. – Uwaga na marginesie urządzania wnętrza. Nie chciałam..

– Okej. – Potrząsnął głową. – To ja zareagowałem.. przesadnie. – Wyszedł z pokoju, zostawiając ją z wyrzutami sumienia. Mimo to nadal ją intrygowało, dlaczego John nie ma żadnych zdjęć. Tym bardziej że praktycznie wszystko, co wnosili do jego domu, było albo właśnie kupione, albo z wypożyczalni.

Nie uszło jej uwadze, że z hotelu przywiózł tylko kilka walizek z ubraniami. Być może nie potrzebuje wspomnień w ładnych ramkach.

Pod wieczór zamówił kolację dla wszystkich pomocników. Przy nowym stole w nowej jadalni mieli okazję lepiej się poznać.

– Dzięki za miły wieczór – powiedziała, niosąc zmęczoną Ruthie do

drzwi.

– Nie, to ja dziękuję za pomoc. – Położył jej rękę na ramieniu. – To był męczący, ale bardzo udany dzień.

– Zdecydowanie, a na dodatek Ruthie jest wykończona, a to dodatkowy plus. – Dziewczynka coś zamruczała, po czym znowu oparła głowę na ramieniu matki i za mknęła oczy.

– Chcesz, żebym ją zaniósł?

– Nie, nie trzeba. Dam radę. Chociaż jak śpi, robi się okropnie ciężka.

– Ale teraz jesteśmy sąsiadami, a sąsiedzi sobie pomagają. – Nim zdążyła się odezwać, przejął od niej Ruthie i wyszedł na dwór.

Wyprzedziła go, by otworzyć drzwi do swojego domu i zaprowadzić do fioletowej sypialni.

Gdy położył dziewczynkę na łóżku, zdjęła jej buty, po czym stanęła nad nią.

– Jak ten czas szybko leci – zauważyła półgłosem. – Są takie dni, kiedy wydaje mi się, że to wczoraj byliśmy z nią w szpitalu w Sydney, czekając na wyniki operacji.

– Tak – szepnął.

Mackenzie wydało się całkiem naturalne, że powinien ja objąć. Westchnąwszy, przysunęła się bliżej. Stali, w milczeniu patrząc na śpiące dziecko.

– Myślę, że jest ci bardzo trudno – odezwała się. – Tyle wspomnień związanych z Mune– hie.

Pokiwał głową.

– Ale dzisiejszy dzień należy do udanych. Od dawna nie miałem do czynienia z dzieckiem przez tyle godzin, a dzisiaj, słysząc zachwyt Ruthie z powodu echa w pustych pokojach, zdałem sobie sprawę, że Mune– hie nie

tylko dzieliła się z nami swoją radością, ale i my dostarczaliśmy jej radości.

– To oczywiste. Byłeś cudowny dla Ruthie, więc mam prawo sądzić, że byłeś wspaniałym ojcem. – Spojrzała na niego. – Dobrych ludzi czasami spotykają złe rzeczy. Nie wiadomo dlaczego. Ot, tak po prostu. – Zawahała się. – Chcesz o niej porozmawiać? Bo bardzo chciałabym się dowiedzieć, jak ją zapamiętałeś.

– Mune– nie kochała śpiewać. – Odetchnął, jakby mówienie sprawiało mu trudność. – Jacqueline codziennie śpiewała jej do snu tarparnijską kołysankę. Albo raczej coś, co przypominało kołysankę, bo jej język należy do tych gardłowych. Nie chcieliśmy, żeby zapomniała o swoich korzeniach.

Znowu głęboki wdech, ale tym razem Mackenzie usłyszała w jego uśmiech.

– Uczyliśmy ją angielskich rymowanek dla dzieci, a ona umiała je na pamięć już po pierwszym albo drugim razie i doskonale nas naśladowała. – Uśmiechnął się szerzej. – Jak miała cztery lata, dawała nam i naszym znajomym prawdziwe recitale wokalne trwające piętnaście minut albo i dłużej, w zależności od tego, jak energicznie biliśmy jej brawo.

– Niesamowite dziecko – śmiejąc się cicho, stwierdziła Mackenzie. – Szczęśliwy rozśpiewany słowiczek.

– Tak – westchnął, przenosząc wzrok z Ruthie na Mackenzie.

– Dziękuję – wyszeptała.

– Nie, to ja ci dziękuję. Nieczęsto o nich mówię, bo to zbyt bolesne.

– Ale może podzielenie się wspomnieniami o nich, o pięknych chwilach spędzonych razem złagodzi ból żałoby.

– To mi pani zaleca, pani doktor?

– Tak – odrzekła z uśmiechem. – Bardzo bym chciała o nich posłuchać.

Dobre wspomnienia to wielki skarb, a skarby zyskują na wartości, jeśli można się nimi z kimś podzielić.

– A ty? Ty masz dobre wspomnienia związane z Warickiem?

Mackenzie spojrzała na Ruthie.

– Staram się jej przekazywać tylko dobre rzeczy o jej tacie. Ma też jego fotografię, żeby wiedziała, jak wyglądał. – Wskazała na niewielkie zdjęcie na półeczce nad łóżkiem. Uśmiechnięty Warick we fioletowej ramce. – Opowiadam jej o drobnych rzeczach, na przykład, że umiał obrać jabłko tak, że powstawała jedna wstęga, którą od razu zjadał. Albo że do pracy każdego dnia wkładał szelki innego koloru. – Potrząsnęła głową. – Miał co najmniej pięćdziesiąt par szelek, ale nie do przytrzymywania spodni. Po prostu uważał, że to dobrze wygląda.

– Nie tęsknisz za nim?

– Nie. Czasami brakuje mi... kogoś, no wiesz... problem samotnej matki... Czasami sobie wyobrażam, że przyjemnie byłoby wrócić do domu, razem zająć się obowiązkami domowymi, a jak Ruthie już zaśnie, usiąść i porozmawiać. – Wzruszyła ramionami. – Ale chyba dają mi to moje najbliższe przyjaciółki, więc nie mam powodu narzekać.

– Nie odebrałem tego jak narzekanie – powiedział, pamiętając, jak wyczerpujące bywa rodzicielstwo.

Oddychał głęboko, wdychał jej zapach. Nie mógł uwierzyć, o ile lżej zrobiło mu się na sercu, a to, że i ona podzieliła się z nim swoimi wspomnieniami, sprawiło, że polubił ją jeszcze bardziej.

Z ogromną przyjemnością spędził ten dzień z Mackenzie mimo obecności innych ludzi. Czuł, że powinni porozmawiać o tym, co jest między nimi... ale nie w tej chwili.

Dotknął jej ramienia, a ona, czytając w jego myślach, odwróciła się i

wyprowadziła go z pokoju Ruthie.

Zeszli na parter.

– Kawa? Mogę się też postarać o przyzwoitą herbatę.

– Każda herbata jest dobra pod warunkiem, że nie w plastikowym kubku

– oznajmił, kierując się do drzwi,

– Bardzo dziękuję, ale już pójdę. Mam masę roboty przez poniedziałkowymi nasiadówkami.

– Jak ci idzie z propozycjami tematów badań? Już je uporządkowałeś?

– Tak, więc chyba niepotrzebna mi pomoc. Dzięki za dzisiejszy dzień.

– Było bardzo przyjemnie.

– Też tak uważam.

Stali pod drzwiami. Powinni uścisnąć sobie dłonie? Powinien pocałować ją w policzek? Po przyjacielsku przygarnąć do siebie? Im dłużej stał, zastanawiając się, jak się pożegnać z tą niezwykłą kobietą, tym bardziej narastało napięcie między nimi.

Dostali szansę, żeby się zaprzyjaźnić, a ten dzień był konkretnym krokiem we właściwym kierunku. Mackenzie jest wyjątkowa i zasługuje, by traktować ją z szacunkiem.

– Hm... – Ujął jej dłoń, by skromnie musnąć wargami jej palce. – Jeszcze raz dziękuję, za wszystko. – Udał, że nie usłyszał, jak wstrzymała oddech. – Miłych snów.

Wyszedł, po czym zniknął w mroku nocy.

Opadła na fotel, czując, że ma miękkie kolana. Czy ten facet zdaje sobie sprawę, co się z nią dzieje? Jak teraz zaśnie? Nawet jeżeli jej się uda, to już wie, o kim będzie śniła.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W poniedziałek od rana była zajęta na bloku operacyjnym, a on miał jedno po drugim kilka spotkań. We wtorek oboje dyżurowali w poradni i spotkali się przy jednym czy dwóch pacjentach. Za to gdy w środę wracała z hospicjum, gdzie odwiedziła kilkoro leciwych podopiecznych, usłyszała, że ktoś ją woła. Na widok Johna szeroko się uśmiechnęła.

– Cześć, skąd idziesz?

– Z laboratorium. Pomyślałem, że aby połapać się, kto prowadzi poszczególne projekty, najlepiej będzie tam zajść i się im przedstawić.

– Słusznie. To znaczy, że poznałeś Stana, męża Anny.

Ściagnął brwi.

– Anny, pielęgniarce operacyjnej?

– Tak. – Ruszyli w stronę szpitala.

– Aha, to Stan jest jej mężem. Powoli zaczynam się orientować, kto jest kim.

– Myślę, że ty i Stan szybko byście się dogadali. O ile dobrze pamiętam, on też lubi chodzić po górach.

Uśmiechnął się zdziwiony.

– Zapamiętałaś?

– John, kiedy się poznaliśmy, byłeś cały upaprany błotem, bo schodziłeś do jaskiń, tak?

– I się wspinałem.

– Stan też to lubi.

– Hm... A ty gdzie byłaś?

– W hospicjum.

- Co tam słycać?
- Zleciłam powtórzenie prześwietlenia pani Pegg.
- I...?
- Jutro biorę ją na blok.... Co to było? – zapytała, nastawiając uszu. –

Ktoś krzyknął.

John się rozglądał.

- To stamtąd – orzekł, wskazując budynek obok.
- Tam są oddziały kobiece – stwierdziła zdziwiona. – To chyba...
- Jakaś pacjentka – dokończył John. I miał rację.

Na drugim piętrze na balkonie, dostępnym tylko dla personelu, ujrzeni starszą kobietę tylko w szlafroku, ale nie to ich zaniepokoiło. Pacjentka, wyraźnie zadowolona, machając nogami, siedziała na betonowej barierce.

W oknie stała przerażona pielęgniarka. To ona krzyknęła. Otrząsnąwszy się z wrażenia, szerzej otworzyła okno i wychyliwszy się, usiłowała zwrócić na siebie uwagę pacjentki, ale staruszka albo była głucha, albo po prostu ją ignorowała.

Mackenzie rzuciła się biegiem w stronę budynku, rozglądając się po drodze za czymś, co mogłoby się przydać, by złagodzić upadek, gdyby kobieta spadła.

Co ona tam robi? Pewnie nie zdaje sobie sprawy, gdzie się znajduje. Demencja, choroba Alzheimera albo seria udarów potrafią plątać mózgowi okrutne, a czasami zagrażające życiu figle. W głowie tej kobiety może panować kompletny chaos albo idylliczny spokój. Oby to drugie, pomyślała Mackenzie.

– Tu jest wszędzie twarda ziemia – rzuciła, nie przestając się rozglądać. Przydałyby się materace, ale skąd je wziąć?

Pielęgniarka stała za drzwiami balkonowymi, ale nie wiadomo,

dlaczego nie mogła się nań dostać. Mackenzie słyszała, jak rozpaczliwie wali w szybę.

– Proszę pani! – zawołała Mackenzie. Bez odzewu.

– Plan B – mruknął John.

– Jaki plan B?! – Ale gdy się odwróciła, jego już nie było. Gnał co sił w nogach w stronę budynku.

Z zapartym tchem patrzyła, jak czepia się rynny i wspina na drugie piętro, ale od miejsca, gdzie siedziała pacjentka, od czasu do czasu machając nogami, dzieliła go jeszcze pewna odległość. Czy się do niej dostanie?

Dech jej zapało, gdy obserwowała, jak wykorzystując kamienne załamki fasady, rozplaszczony na murze powoli sunie w stronę balkonu.

Na dole grupka ciekawskich gęstniała. Kilku ochroniarzy włączyło się do akcji. Przede wszystkim zajęli się szukaniem materacy na wypadek, gdyby kobieta spadła albo, nie daj Boże, postanowiła skoczyć. Ktoś inny powiedział, że straż pożarna już jest w drodze, ale Mackenzie nie odrywała wzroku od swojego rycerza.

Był coraz bliżej balkonu, ale w pewnej chwili stracił oparcie, bo podłoże okazało się mniej stabilne, niż myślał. Mackenzie wydała stłumiony okrzyk, przyciskając dłonie do piersi. Serce waliło jej jak młotem, czuła się

bezzadna, ale stała niczym zahipnotyzowana. Odetchnęła, gdy jego stopa znalazła oparcie.

Gdy znalazł się przy balkonie, kobieta w końcu go zauważyła. Mimo że Mackenzie bacznie obserwowała jej twarz, zamiast zdziwienia dostrzegła na niej radość. Jakby od początku miała absolutną pewność, że John do niej dotrze. Niesamowity widok, tym bardziej że Mackenzie się obawiała, że pojawienie się Johna może kobietę przestraszyć.

Stało się jasne, że staruszka nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji. Z

bezczelnym uśmiechem przyglądała się Johnowi.

– Też zwiąłeś? – zwróciła się do Johna, który lekko przerzucił się ponad barierką.

– Noo... – przytaknął, czujnym krokiem zbliżając się do kobiety. – John – przedstawił się. – A tobie jak na imię?

– Patty.

– Miło cię poznać. – Zacisnął dłonie na jej talii. – Pójdziemy tam usiąść w fotelu? Tam sobie pogadamy.

– Chciałam zakurzyć – przyznała się nadszana. – Starzy nie pozwalają mi palić. Potrząsnęła głową. – To idiotyczne. Moi rodzice są strasznie staroświeccy.

John nie zwalniał uścisku.

– Zejdź z barierki i opowiedz mi o nich – zaproponował, licząc, że zrobi to z własnej woli.

Mackenzie patrzyła, jak John kusi Patty. Mogła sobie bez trudu wyobrazić, co Patty czuje, spoglądając we wpatrzone w nią niebieskie oczy, jakby na tej planecie tylko ona się dla niego liczyła.

Opuściła powieki na wspomnienie, jak John patrzył na nią. Gdy małą Ruthie zabrano na blok operacyjny, czuła się zagubiona i przerażona. Był wtedy przy niej, jakby spadł jej z nieba, pocieszał i dodawał otuchy.

– Znałam kiedyś jednego Johna – powiedziała Patty, ewidentnie donikąd się nie spiesząc. Mackenzie wytrzymała słuch. – Czy to ty?

– Raczej nie. Jestem innym Johnem. – Spojrzał na jej pomarszczoną twarz. Czy ty wiesz, że masz niesamowite brązowe oczy?

Patty się rozpromieniła.

– Ty jesteś tym moim Johnem. Zawsze ci się podobały moje oczy,

pamiętasz?

Mackenzie zaciskała kciuki, by John zdążył zdjąć uciekinierkę z barierki, zanim kobieta odzyska świadomość, bo wtedy cały plan spaliłby na panewce.

– Złap mnie za szyję, to cię przeniosę na fotel. Usiądziemy, pogawędzimy...

Patty czujnie mu się przyglądała, niezdecydowana. Ale John pochylił się nad nią, by szepnąć jej coś do ucha. Staruszka nie tylko się zaśmiała, ale posłusznie złapała go za szyję. W ułamku sekundy wciągnął ją na balkon, po czym oboje zginęli im z oczu.

Zebrani na dole nagrodzili go oklaskami, a Mackenzie poczuła, że nareszcie może się odprężyć. Natychmiast wbiegła do budynku i dalej na oddział, gdzie pielęgniarki układały Patty na łóżku. John przez cały czas trzymał ją za rękę, ciepło do niej przemawiając.

Mackenzie przysiadła na krześle w rogu pokoju. Z jednej strony nie chciała przeszkadzać, z drugiej, chciała wszystko słyszeć. John ma prawdziwy dar uspokajania pacjentów połączony ze wspaniałym podejściem do nich. Zauważył ją, dopiero gdy Patty zasnęła.

– Nie wiedziałem, że tu jesteś.

– Nie chciałam przeszkadzać. – Dał jej znak, by wyszli z pokoju, ale najpierw musiał wysłuchać wylewnych podziękowań oczarowanych nim pielęgniarek.

– Byłeś genialny – powiedziała, gdy szli korytarzami w kierunku oddziału ortopedycznego.

– Dzięki.

Przez dłuższy czas szli w milczeniu. W końcu Mackenzie nie wytrzymała:

– Kurczę, nie mogę... Muszę się dowiedzieć.

– Czego? – Na oddziale od razu weszli do jego gabinetu. Mackenzie starannie zamknęła drzwi.

– Nie udawaj. Widzisz chyba, że konam z ciekawości. Coś ty jej szepnął, że tak grzecznie dała się zdjąć z barierki? Jak ty to robisz? Skąd wiesz, co powiedzieć, żeby zdobyć zaufanie osoby, którą dopiero co poznałeś?

Stał przed nią z rękami w kieszeniach, nieznacznie się uśmiechając. Wysoko uniósł brwi.

– Myślałem, że kto jak kto, ale ty na pewno znasz odpowiedź.

– Doskonale pamiętam, jakimi słowami zwracałeś się do mnie, ale Patty to co innego. – Zamyśliła się. – Prawdę mówiąc, nie słowa są ważne, ale sposób, w jaki mówisz ton głosu, spojrzenie. Moje zaufanie zdobyłeś w ułamku sekundy.

– Wiem.

– Mówisz to, co czujesz, czy może naprawdę w to wierzysz?

– A gdyby tak jedno i drugie? – Mackenzie milczała. – Co takiego powiedziałem, że tak szybko nabrałaś do mnie zaufania? – zapytał, nie spuszczając z niej wzroku.

– Że będzie dobrze, ale powiedziałeś to z takim przekonaniem, że musiałam ci uwierzyć.

– To dlaczego uważasz, że Patty powiedziałem co innego?

– John, przestań się ze mną drażnić!

Wzruszył ramionami.

– Nie było w tym nic niezwykłego. Powiedziałem, że jest niesamowita i że chciałbym z nią gdzieś usiąść, żebyśmy sobie porozmawiali.

– I właśnie to zrobiłeś. – Mackenzie kiwała głową. – Założę się, że jej

śluchałeś, zachęcałeś, żeby mówiła o tym, co ją gnębi, żeby jej umysł się odprężył i trochę odpoczął, zwłaszcza po tak emocjonującej eskapadzie.

– Skorzystałem też z okazji, żeby odsunąć fotel, którego oparciem zablokowała klamkę drzwi, i wpuścić pielęgniarki.

– Zastanawiałam się, dlaczego nie mogą się do niej dostać. Sprytna staruszka. Dowiedziałeś się, po co wyszła na balkon?

– Na papierosa. Wyjaśniła, że ma dziewiętnaście lat i że ma po dziurki w nosie tego, że rodzice nadal ją traktują jak dziecko.

Mackenzie uśmiechnęła się współczująco.

– Biedna Patty.

– Umysł ludzki ma o wiele większy potencjał, niż nam się wydaje – zauważył John. – Na szczęście już nic jej nie grozi.

– Dzięki tobie. – Stała tuż przed nim. – John, jesteś wyjątkowym facetem. – Odgarnęła mu kosmyk włosów z czoła. – Dajesz z siebie niesamowicie dużo, jesteś empatyczny i hojny. – Zsunęła dłoń na jego ramię, spoglądając mu w oczy emanujące poczuciem bezpieczeństwa.

– Mackenzie... – W jego głosie zabrzmiała nuta ostrzeżenia.

– John, nie czujesz tego? Nie czujesz tego szaleństwa między nami?

– Czuję. Ale czy wolno nam iść za tym głosem?

– A wolno nam go ignorować? – Potrząsnęła głową. – To jest takie... intensywne.

– Potężne.

– Nieokiełznane.

Odetchnąwszy głęboko, położył jej dłoń na biodrze, upajając się choćby takim kontaktem.

– Mackenzie... jesteś wyjątkowa. Ja... – Zawahał się porażony jej urodą. Poglądził ją po policzku. Trafnie to ujęła. Nieokiełznane. – Jesteś... cudowna.

– Powiódł palcem po jej wargach, czując, jak jego ciało pulsuje pożądaniem.

– John... – Jej szept podziałał na niego jak pieszczota.

W chwili, gdy ich wargi się spotkały spragnione od dawna takich doznań, pomyślała, że są w mocy zatrzymać czas. Wstrząsały nią fale pożądania, każda następna silniejsza od poprzedniej.

Śniła o tej chwili, budziła się z myślami tak szalonymi, tak obrazowymi, że niemal czuła jego pocałunki. Teraz zdała sobie sprawę, że te sny były niczym w porównaniu z Johnem z krwi i kości. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi, a ciało ożyło w nieznany dotąd sposób.

On jest tutaj. Jej John nareszcie jest tutaj i ją całuje, rozkoszuje się tą chwilą, sprawiając, że ona czuje się kobieca, piękna i bezpieczna.

Powoli, słodko i zmysłowo. Jego wargi zwiedzały jej usta, jakby chciały zapamiętać każdy ich załomek. W końcu po latach domysłów, jak smakuje jej usta, zdał sobie sprawę, że jest słabo przygotowany na tyle zmysłowych wrażeń.

– Mackenzie... – Chciał mieć pewność, że ona też tego pragnie.

– Cii... Całuj mnie, proszę.

Posłusznie wykonał jej polecenie, bo Mackenzie zasługiwała na delikatność, czułość i wierność. Na namiętność przyjdzie czas.

– Jesteś... cudowna – wyszeptał, muskając wargami kąciki jej ust, a dalej policzek i szyję.

Lekko odchyliła głowę. Zamknął oczy. Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

– Dopóki nie spotkaliśmy się ponownie, nawet nie wiedziałem, że tak bardzo chcę cię pocałować – wyznał. Odsunął się nieco. – Przepraszam, jeżeli to dla ciebie przykre.

– Dlaczego miałyby mi to sprawiać przykrość?

– Bo pięć lat temu potrzebowałaś tylko przyjaciela.

– I tym dla mnie wtedy byłeś. – Uśmiechnęła się. – John, nic nie poradzimy na to, co czujemy. To jest. Przez pięć lat bardzo się zmieniliśmy, ale myślę, że naszym problemem jest strach, że ktoś nas zrani. Nikt chętnie się nie otwiera, nie zwierza się z kompleksów.

Przytaknął.

– Nie każdego dnia zdarzają się takie emocje – zauważył, jakby nadal nie pojmował, co się dzieje.

– Zdaję sobie sprawę, że zapewne tobie trudniej niż mnie jest nie myśleć o nieżyjącej żonie, tym bardziej że chyba byliście szczęśliwi – mówiła powoli, gładząc go po policzku. – Ale czas płynie, chociaż może czasami chcielibyśmy, żeby stanął w miejscu.

Dotknął czołem jej czoła.

– Mam potężny bagaż.

– Kto nie ma? – Uśmiechnęła się. – John, chcę tylko wiedzieć, czy... czy potrafisz tego nie ignorować.

Zastanawiał się dłuższą chwilę

– Nie, nie chcę tego ignorować.

– Całe szczęście – westchnęła z ulgą.

– Ale zanim posuniemy się dalej, chciałbym, żebyś wiedziała, że miałem powód, żeby przez tyle lat się z tobą nie skontaktować.

– Słucham. Bo to mnie intrygowało. Nie oczekiwałam, że będziemy się widywali codziennie, ale myślę, że mogłeś mi zostawić numer telefonu, żebym chociaż... no nie wiem, posłała ci w podziękę kosz owoców.

– Po prostu uznałem, że potrzebujesz spokoju, żeby sobie poradzić ze zmianami, jakie zaszły w twoim życiu. Przeżyłaś wypadek, urodziłaś wcześniaka, owdowiałaś. To bardzo dużo. Do tego doszła operacja Ruthie.

Nie chciałem wprowadzać jeszcze większego zamętu do twojego życia.

– Nie sędzę, żebyś wprowadził większy chaos. Umarła ci żona, więc na pewno wiedziałeś, co ja przeżywam.

– Właśnie dlatego musiałem zniknąć. Żeby nie wtrącać się do twojego życia. Mimo że mi się podobałaś, nie- potrzebny był ci facet z ponurą przeszłością. – Wzruszył ramionami. – Byłem kimś, kto się tam znalazł, kiedy tego potrzebowałaś.

– John, teraz też cię potrzebuję. Ale inaczej.

Musnął ją wargami.

– Świetnie.

Tym razem zamknął jej usta pocałunkiem.

Od dawna miała nadzieję, że będzie to elektryzujące doznanie. I się nie pomyliła. Jej serce śpiewało nie tylko z powodu jego delikatności, ale też na myśl, że być może John zdecyduje się tu zostać, zapuścić korzenie.

Skoncentrowała się na tym, jak jego zęby skubią jej wargę, podniecając ją obietnicą tego, co jeszcze nastąpi. John. Jej John. Wziąwszy pod uwagę, jak bezpiecznie czuła się w jego ramionach, miała cichą nadzieję, że nadal będzie ją chronił. Zawsze.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nim się obudziła tego poranka, śnił się jej John. Że ją przytula i całuje. Tym razem to nie był sen, ale jawa Westchnęła cicho, wspominając pocałunki nabrzmiałe obietnicą prawdziwej namiętności.

– John? – wyszeptała zmieszana. John jej nie pragnie? Nie zauważył, jak drży z pożądania? Nie poczuł tego samego? Musnęła go znowu. Odwzajemnił ten pocałunek ale chwilę później lekko ją odsunął. – John...

– Cierpliwości – szepnął.

– Ale... nie chcesz?

– Z tobą? Niczego bardziej nie pragnę.

Nie zdaje sobie sprawy, że poruszył jej wszystkie zmysły? Musi dowiedzieć się jeszcze więcej, żeby odkryć tę kipiącą w nich nieokiełznaną siłę?

– Ale uważam, że to bardzo ważne, żebyśmy się nie spieszyli. – Mówiąc, nie spuszczał wzroku z jej warg, a ta wzrokowa pieszczota wcale nie zachęcała do zwłoki ani nie koła serca trzepoczącego jak ptak w klatce.

Wiedziała, że ma rację, że oboje muszą ochłonąć.

– Już pójdę – szepnął.

– Nie chcę, żebyś wychodził – wyrwało jej się. Bez słowa wziął ją za rękę i poprowadził do drzwi.

– Do weekendu jesteśmy zajęci. Co robisz w sobotę?

– Zaproponuj coś, a ja się dostosuję. – Gdy się uśmiechnęła, nie mógł się powstrzymać, by jej nie objąć i jeszcze raz pocałować.

– Widzę, że muszę się bardzo postarać – zażartował.

– Co masz na myśli?

– Ponieważ Ruthie będzie w domu, nie wchodzi w grę to, co mam na myśli. – Uniósł znacząco brwi, sprawiając, że szeroko się uśmiechnęła.

– Okej. Więc...?

– Jeden z pacjentów mi powiedział, że niedaleko stąd jest park narodowy.

– Znamy go dobrze, bo Ruthie uwielbia tam jeździć.

– Wobec tego jesteśmy umówieni. To dla ciebie... – Pocałował ją. – A to dla Ruthie. – Jeszcze jeden całus.

Ale ona wcale nie chciała tak szybko się z nim żegnać. Zrzuciła mu rękę na szyję. Nie protestował. I tak niewinny całus na dobranoc przeistoczył się w kolejny gorący pocałunek.

Leżała uśmiechnięta w promieniach porannego słońca pełzających po sypialni. Tak samo szczęśliwa jak poprzedniego wieczoru w ramionach Johna. Tak, tego szukała od samego początku, a w jego objęciach znalazła szczęście. Roześmiana wyskoczyła z łóżka. Z radością myła się i ubierała w oczekiwaniu na spotkanie z Johnem. Godzinę później mozolnie zbierała niesforne włosy Ruthie, by uczesać ją w koński ogon.

– Mamo, ja chcę mieć taką samą fryzurę jak ty. Będziemy takie same. – Śmiejąc się, pokazała na swoje czarne kozaczki, niebieskie dzinsy i czerwony sweter. Właśnie tak była ubrana Mackenzie.

Gdy w końcu udało się Ruthie uczesać, dziewczynka, uradowana, mocno ją uścisnęła.

Na pukanie do drzwi Ruthie, krzycząc na całe gardło:

– John! – popędziła mu otworzyć.

Mackenzie lekko zmieszana zaszła do kuchni po torbę termoizolacyjną z napojami i kanapkami.

– Witaj, skowroneczku! – usłyszała po chwili, a dalej obszerną relację

Ruthie o tym, co zobaczą w rezerwacie, o jej ulubionych zwierzakach, o tym, jakie piękne motyle są w motylami...

– A gdzie twoja mama? – zapytał John, gdy umilkła na chwilę, by nabrać powietrza.

Chwilę później stanął w drzwiach kuchni.

– Cześć.

Przywitała go niepewnym uśmiechem, nie wiedząc, jak się zachować. Pocałować go w policzek? W usta? Czy w ogóle powinna go całować na oczach Ruthie? Pierwszy raz znalazła się w takiej sytuacji. Sięgając po torbę, poczuła, że drżą jej ręce.

– Hm, Ruthie... – Zawahała się zauroczona Johnem w jasnych dżinsach i białej koszulce polo oraz zapachem jego wody po goleniu.

– Słucham, mamó. – Głos Ruthie przywołał ją do porządku. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że bezwstydnie przygląda się Johnowi, wręcz pożera go wzrokiem. Nim zacisnęła powieki, dostrzegła uśmieszek błakający się na jego wargach.

– Mamó, co chciałaś? – odezwała się Ruthie.

– Eee... hm... Weź czapkę.

– Mogę wziąć Zoe?

W tej chwili Mackenzie było wszystko jedno, czy Ruthie zabierze z sobą wszystkie lalki, bo zależało jej tylko na tym, by mała wyszła z kuchni.

– Tak, możesz.

– Hura! – Wbiegając na schody, Ruthie wołała do swojej faworytki: – Zoe, mama się zgodziła, żebyś z nami pojechała!

– Żywe srebro — zauważył John, podczas gdy Mackenzie po raz kolejny sprawdzała zawartość torby w nadziei, że ta banalna czynność pozwoli jej zapanować nad zdenerwowaniem.

Na nic ten wybieg, bo John znalazł się tuż przy niej.

– Pomóc ci? – zapytał, ale oczu nie spuszczał z jej warg. Powiódł palcem po jej policzku.

– John... – Kaszlnęła. – Pierwszy raz...

– Cii... – Pochylił się nad nią, jakby zamierzał ją pocałować. Opuściwszy powieki, czekała. Nareszcie. – Dzień dobry – szepnął.

– Dzień dobry – odparła, tęsknie spoglądając mu w oczy.

– Już się cieszę na tę wyprawę.

– Ja też – usłyszeli głos Ruthie, która na schodach usłyszała ich rozmowę.

Trzymała w ręce Zoe w takiej samej czapce jak ona. Mackenzie odsunęła się od Johna. Nie była jeszcze gotowa odpowiadać na pytania Ruthie, zwłaszcza na temat Johna. Zasunęła zamek torby.

– Myślę, że to będzie bardzo udany dzień. – Rozejrzała się. – Gdzie jest moja czapka? – Sięgnęła po torbę, ale John ją ubiegł.

– Na wieszaku, mamo, przy drzwiach – poinformowała ją Ruthie.

John mrugnął do niej.

– Niech już się zacznie ten piękny dzień w gronie przyjaciół. – Teraz uśmiechnął się do Mackenzie.

Wsiadała do jego auta z nadzieją, że nim dojadą do parku, jej serce wróci do normalnego rytmu, aczkolwiek nie była tego pewna, zważywszy na jego bliskość.

Kiedy szli do wejścia, Ruthie zażyczyła sobie trzymać ich za ręce, ale gdy Mackenzie spojrzała na Johna, uśmiechał się wyraźnie uszczęśliwiony. Sprawiali wrażenie normalnej rodziny.

Przyjemne uczucie, którego nie doświadczyła z Warickiem, bo on zawsze twierdził, że jest zbyt zajęty, by spędzać z nią czas. Tego dnia mogła

udawać, że ona, John i Ruthie są rodziną, która zamierza razem spędzić czas w parku narodowym.

Pogoda sprzyjała takim wypadom, na niebie ani chmurki, i zapewne dlatego zjechało się mnóstwo ludzi. Gdy wsiedli do miniaturowej kolejki objeżdżającej cały teren, Mackenzie nie mogła powstrzymać się od śmiechu, widząc Johna skulonego tak, że kolana miał przy uszach.

– Gorzej było tylko w twoim aucie – zażartował, kiedy roześmiana Ruthie sadowiła się obok niego. Już dawno Mackenzie nie widziała córeczki tak szczęśliwej.

Czy ten sen może się spełnić? Czy wolno jej liczyć, że to, co ją łączy z Johnem, ma szansę włączyć go trwale do jej życia? Niepewna tego, odsunęła od siebie tak poważny wątek.

Najpierw Ruthie karmiła wielobarwne papugi, które siadały jej na głowie i ramionach, potem przeszli do węży, gdzie przestraszona kazała Johnowi wziąć się na ręce. Nie protestował. U krokodyli siedziała mu na barana.

Mackenzie robiła im zdjęcie za zdjęciem, podświadomie czując, że jeśli z jakiegoś powodu jej i Johnowi się nie ułoży, będzie przynajmniej miała co wspominać.

Gdy usiedli w cieniu ogromnego eukaliptusa, westchnęła. Wokół piknikowały inne rodziny, zewsząd dochodził śmiech dzieci, odgłosy rozmów, skrzeczenie ptaków, szelest liści.

– Wygadana – zauważył John, obserwując Ruthie, która nieopodal rozstawiała dzieci po kątach. Mackenzie się roześmiała. Istna muzyka dla jego uszu.

– Za bardzo? – zapytała. – Normalnie mówi zdecydowanie szybciej niż teraz. Czasami mam wrażenie, że chce jak najszybciej wyłożyć swoje racje,

żeby nikt jej nie przerwał.

– Nie mam nic przeciwko temu. – Zdjął ciemne okulary i na nią spojrzał.

– Chciałabyś mieć więcej dzieci?

To pytanie ją zaskoczyło. Podejrzewała, że to jakiś egzamin. Ale po co?

– Nie wykluczam, ale to by zależało od tego, czy... trafię na odpowiednią osobę. Już raz zaszłam w ciążę z człowiekiem, który zgodził się na dziecko tylko dlatego, że zdaniem szefa ojciec rodziny kojarzy się z odpowiedzialnością.

– Naprawdę? – Potrząsnął głową. – Nie wydaje mi się, żeby Warick, świeć Panie nad jego duszą, wiedział, co liczy się w życiu.

– Prawdę mówiąc, oboje nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, aż było za późno. Tak, mieliśmy dużo problemów, ale i tak nie zasłużył, żeby umrzeć.

– A kto zasłużył?

– Chyba nikt.

– Brakuje ci go?

– Nie tak jak na początku, ale wtedy byłam nie tylko wdową, ale i matką chorego wcześniaka. Choroba i żałoba nie idą w parze, ale z czasem, kiedy Ruthie już wyszła na prostą, dotarło do mnie, że to małżeństwo było sklecone byle jak.

– Współczuję.

– Warick nie był silnym facetem, na pewno nie tak silnym jak wtedy, gdy za niego wychodziłam. Jako dziecko wychowane w rodzinach zastępczych głęboko wierzyłam, że dam sobie radę w każdej sytuacji, ale wierz mi, ta wiara została poddana bardzo trudnej próbie.

– Jak doszło do tego, że znalazłaś się w rodzinie zastępczej? – zapytał.

Miał przy tym nadzieję, że Mackenzie nagle nie zamknie się w sobie. Odniósł wrażenie, że dużo łatwiej jest jej mówić o Waricku, bo to on, John,

jako pierwszy poinformował ją o jego zgonie. Ale nie miał pojęcia, jak wyglądało jej wcześniejsze życie.

Westchnąwszy, usiadła, po czym spojrzała tam, gdzie bawiła się Ruthie, nie chcąc, żeby mała poznała jej historię, dopóki nie będzie dorosła.

– Hm... – Potrząsnęła głową. – Ujmę to krótko. Ojciec po pijaku w ataku zazdrości zastrzelił mamę, a potem siebie. Miałam siedem lat. Spałam, a obudził mnie dopiero policjant, który wpadł do mojego pokoju. Sąsiedzi usłyszeli strzały i wezwali policję.

Mięła w palcach suchy liść, nie mając odwagi spojrzeć na Johna. Słyszając to, ludzie, zwłaszcza dorośli, wyrażali współczucie, a ona nie potrzebowała ich litości.

– To tyle. Przez kilka lat mieszkałam u ciotki, ale jak miałam dziesięć lat, zrobiłam się... powiedzmy, że ciotka sobie ze mną nie radziła. I tak znalazłam się w systemie opieki zastępczej.

Rozwazał w myślach jej słowa.

– Nic dziwnego, że jesteś taka silna. – W jego głosie wyczuła nutę dumy.

Nie spodziewała się takiej reakcji. Zaskoczona podniosła na niego wzrok.

– Słucham?

– Od pierwszej chwili byłem dla ciebie pełen podziwu. Dla tego, jak się podźwignęłaś i mocno stanęłaś na nogach.

– Hm. – Speszyła się.

– Od początku podejrzewałem, że jesteś niezwykła, ale teraz mam co do tego pewność. – Wpatrywał się w nią tak intensywnie, że zrobiło się jej gorąco. – Musiało ci być bardzo trudno, kiedy w każdej nowej rodzinie zastępczej twoja przeszłość nieuchronnie wychodziła na jaw.

– Nie było łatwo – przyznała. – Dorośli litowali się nade mną, ale dzieciom dawało to pretekst, żeby mi dokuczać.

– Naprawdę? – Ściągnął brwi, po czym pogładził ją po policzku. – Dzieci potrafią być okrutne.

– To żadna nowość w tym systemie. Spotykałam tam dzieci alkoholików albo narkomanów, inne rodzice po prostu porzucili, czasami nawet nie wiedziały, kim są. Wszystkie znalazły się w tym systemie z jakiegoś powodu. Radziły sobie, dokuczając innym. – Uśmiechnęła się melancholijnie. – Wydaje mi się, że przez to stawaliśmy się sobie trochę bliżsi. Wszyscy znaleźliśmy się w tej samej sytuacji, jako ofiary działań innych, więc jakoś musieliśmy sobie z tym dawać radę.

John kiwał głową.

– Nic dziwnego, że jesteś taka silna – powtórzył. Pochylił się nad nią tak, że ich oddechy się mieszały. Jeszcze raz pogładził ją po policzku. – Jak jestem blisko ciebie, trudno mi trzymać ręce przy sobie. Mackenzie masz najśodsze usta na świecie. Od chwili, kiedy cię pocałowałem, marzę wyłącznie o tym, żeby całować cię raz po raz.

– Hm... Nie mam nic przeciwko temu.

Uśmiechnął się zmysłowo, a ona przysunęła się jeszcze bliżej. Kątem oka widziała spacerujących ludzi, ale niewyraźnie, bo John patrzył na nią jak na najcudowniejszą kobietą na świecie.

– Miło mi to słyszeć.

– Przy tobie czuję się taka zagubiona...

– Zagubiona? – Musnął wargami jej policzek. Przypadkowy obserwator uznałby, że John coś jej szepcze do ucha, ale ona była wniebowzięta.

– Nie wiem, co myśleć. Nic nie jest... – Wstrzymała, oddech, gdy skubnął zębami jej ucho. – Wszystko jest takie... zamazane.

– Zamazane? – Nie mógł wyjść z podziwu, jak Mackenzie reaguje na jego pieśczoć, ale jednocześnie potrafi przygasić płomień, który w nim rozgorzał, odkąd pozwoliła się pocałować.

Nie zdaje sobie sprawy, co się z nim dzieje? Jak się jej udało zawładnąć jego racjonalnym umysłem?

Szczyił się tym, że zawsze potrafi nad sobą zapanować, zawsze trzyma innych na dystans. Odkrył, że to najlepszy sposób zachowania równowagi wewnętrznej po tym, co go spotkało lata temu. Jeżeli nie będzie za bardzo przejmował się losem innych, uchroni się przed ryzykiem przeżywania tak dojmującego bólu.

Jednak wbrew temu nie dość, że zakochał się w Mackenzie, to sprawia mu radość każda chwila spędzona z Ruthie. Te dwie kobiety w niewytłumaczalny sposób przebiły mur, którym tak pracowicie się otoczył. Cegielka po cegielce dobierają się do jego serca.

Powinien zrobić wszystko, by ten wyłom zamurować, odgrodzić się od nich. Ale czy może wyprzeć się siebie, kiedy Mackenzie jest blisko, kiedy patrzy mu w oczy, jakby był jedynym facetem na świecie, który nie tylko ją rozumie, ale potrafi sprawić, że czuje się kobieca, słodka i zmysłowa?

Zamazane. Powiedziała, że jak jest przy niej, wszystko staje się zamazane, ale on odbiera to tak samo. Uzależnił się od jej gładkiej skóry, jej pełnych warg... i tego, jak na niego patrzy. Samo to wystarczy, by nawet najsilniejszego faceta doprowadzić do utraty zmysłów.

Teraz, kiedy są tak blisko, na pewno nie jest silnym facetem. W jej rękach jest miękki jak wosk. I to go przerażało.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Mamo, mam, zobacz! – Okrzyki Ruthie kazały mu się odsunąć od Mackenzie, która natychmiast skierowała uwagę na córeczkę.

Na gałęzi tuż nad nią przysiadła oswojona kolorowa papuga. Ptak wcale się nie przestraszył jej okrzyków. Co więcej, zleciało się do niej całe stadko.

Mackenzie zerwała się z miejsca, by zrobić zdjęcie, ale upadła z powodu nogi, która jej zdrętwiała.

– Ups! – John ją podtrzymał. – Oprzyj się o mnie.

Mimo że te słowa miały związek tylko z jej nogą, pomyślała, że mogłyby też odnosić się do przyszłości. Już raz wspierał ją jak nikt inny. Jest silny, szczery, godny zaufania, ale to mało. Być może nie uda się jej lepiej go poznać, jeśli nie zaufa jej na tyle, by się przed nią otworzyć.

Szli w stronę Ruthie oraz grupki wycieczkowiczów zapatrzonych w papugi. Z przeciwnego kierunku podążał ku nim strażnik przyrody, by wygłosić krótką pogadankę na temat tych ptaków.

– Mamo, John, patrzcie! – Ruthie wskazywała ptaka.

Robiąc jedno zdjęcie za drugim, Mackenzie przez cały czas czuła na biodrze rękę Johna.

– Dzięki, już mam czucie w palcach.

– Całe szczęście – szepnął jej do ucha, przyprawiając ją o znamienny dreszcz. Gdy odwróciła ku niemu twarz, ukradkiem musnął wargami jej usta.

W nagrodę usłyszał, jak westchnęła, dopiero potem skupiła się na Ruthie. Kiedy strażnik zapytał, kto zgłasza się na ochotnika, dziewczynka pierwsza podniosła rękę. Stała teraz przed papugą i mogła dotknąć kolorowych piór na skrzydle.

W drodze do domu towarzyszył im nieustanny szczebiot Ruthie.

– A jak miałam nasionka na ręce i ona zaczęła je dziobać, to strasznie łaskotało. Mamo, to łaskotało! John, nawet nie wiesz, jak łaskotało!

– Już mówiłaś, Ruthie – odezwała się Mackenzie.

Obawiała się, że trudno jej będzie zagonić Ruthie do łóżka po tak emocjonującym dniu, ale nim dojechali do domu, dziewczynka zaczęła ziewać. John wniósł do domu torby, a Mackenzie poszła zrobić kąpiel dla Ruthie. Gdy wróciła z łazienki, John żegnał się z ziewającą Ruthie.

– Zostaniesz na kolację? – zapytała.

– Dzięki za zaproszenie, ale nie skorzystam. Mam jeszcze sporo papierów do przejrzenia.

– Okej. – Wzięła na ręce córkę. – Wobec tego zobaczymy się... jutro? Podczas obchodu? – Tęsknie spoglądała na jego wargi, ale uznała, że z dzieckiem na rękach gorące pocałunki nie będą na miejscu.

John uśmiechnął się i puścił do niej oko.

– Tak sędzę. Spij dobrze. Słodkich snów.

Gdy wyszedł, zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę tego jej życzył. Śpij dobrze i śnij o mnie, bo tak to odebrała.

W poniedziałek po pracy pojechała po Ruthie.

– Znowu nie ma Johna? – zapytała Ruthie, wsiadając do samochodu.

– Ruthie, przyjechał po ciebie tylko raz. To była specjalna okazja.

– Ale mnie się to podobało.

– No cóż, jak wychodziłam ze szpitala, jeszcze był za- jęty.

Jednak gdy zajechały pod dom, na podjeździe Johna ujrzały jego samochód.

– Mogę się z nim przywitać? – zapytała Ruthie.

– Na pewno ma dużo pracy. – Mackenzie wjeżdżała do garażu, nie

bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. Spotykają się? Są parą? Ma prawo do niego wpadać, ilekroć będzie miała ochotę?

Tego dnia, po wyjściu z bloku, Anna przyłapała ją w przebieralni, gdy uśmiechała się do siebie.

– Widzę, że jesteś w doskonałym humorze – zauważyła Anna, przeszywając ją spojrzeniem. – Chyba jesteś zakochana. – Przyłożyła palec do warg. – Czy ma to jakiś związek z nowym szefem ortopedii? Słyszałam, że uratował staruszkę. Że jak człowiek pajak wspiął się po murze. Wszyscy o tym mówią.

– Tak, to wyjątkowy człowiek. – Mackenzie wzruszyła ramionami. – A propos, poznał twojego męża. Powiedziałam mu, że Stan też kocha jaskinie i wspinaczkę, i inne takie. Może kiedyś Stan mógłby go zabrać z sobą?

Anna pokiwała głową.

– Czemu nie? Dzisiaj ma wolne popołudnie, więc poszedł się wspinać w parku narodowym. Twierdzi, że tylko w ten sposób odpoczywa. – Uśmiechnęła się czule. – Wspomnę mu o zainteresowaniach Johna.

– Fajnie. John ma tu mało znajomych, więc bardzo by się mu to przydało.

Anna wysoko uniosła brwi.

– Organizujesz nowemu szefowi życie towarzyskie?

– Nie, ale wiem, jak się człowiek czuje w obcym mieście.

– I postanowiłaś mu pomóc? No, najwyższy czas, żeby jakiś facet zawrócił ci w głowie. John jest przystojny, a na dodatek to bohater.

– Oraz mój sąsiad – dodała Mackenzie, spoglądając na zegarek. – Ojej! Spóźnię się po Ruthie!

– Zaczekaj! – zawołała za nią Anna. – Domagam się więcej informacji! Już w drzwiach Mackenzie, śmiejąc się, posłała jej całusa.

Wróciwszy od babci Liz do domu, zrobiła Ruthie kąpiel i zabrała się do robienia kolacji, cały czas sobie powtarzając, że nie powinna tyle myśleć o Johnie. Niby są sobie bliscy, ale ciągle dalecy. Owszem, całowali się; owszem, wyznali sobie, że się lubią; owszem, spędzili cudowny dzień w parku. To jednak jeszcze nie znaczy, że już zaraz muszą być nierozłączni.

Może powinna zaprosić go na kolację? Nie. Mógłby Bóg wie co sobie o niej pomyśleć. Gdy ich drogi zeszły się po raz drugi, wyraźnie mu powiedziała, że nie ma czasu na romantyczne przygody. To święta prawda.

Ruthie, praca oraz dom pochłaniają lwią część jej czasu. Resztę spędza z przyjaciółmi.

– Uważasz Johna za przyjaciela? – mruknęła pod nosem, stawiając rondel z ziemniakami na kuchni. To tylko posiłek, oboje powinni coś zjeść... więc mogliby razem.. Podeszła do telefonu, wybrała jego numer, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła. John jest zavalony pracą, a ona nie chce, by pomyślał, że mu się narzuca.

Krojąc warzywa, od czasu do czasu mieszała w garnku z gulaszem. Jest kobietą niezależną, która od lat radzi sobie sama. Dobrze im we dwie, a ona nie potrzebuje faceta. Odłożyła nóż, spoglądając na telefon. Odkąd John ponownie zjawił się w jej życiu, zastanawiała się, co się między nimi może wydarzyć. Od dawna podchodziła bardzo ostrożnie do wszelkich znajomości, napatrzywszy się różne dramaty w rodzinach zastępczych.

Kiedy Warick zaczął się do niej zalecać, dała mu nie złą szkołę, nim zdobył jej zaufanie. Przeżyła szok, gdy dotarło do niej, że ich związek nie ma dla niego znaczenia. Okazało się, że dla niego jest tylko rzeczą. Teraz musi myśleć również o córce. Dziewczynka zbyt szybko polubiła Johna, co Mackenzie mocno zaniepokoiło. Jeże li z jakiegoś powodu nie będą razem, to jak Ruthie na to zareaguje?

Nie, ten wieczór John spędzi u siebie, robiąc to... co robi, a one zjedzą kolację, pooglądają telewizję, aż przyjdzie czas na sprawdzenie zadania domowego, potem Ruthie umyje zęby, a następnie Mackenzie przeczyta jej na dobranoc jakąś bajkę. To zdecydowanie najlepsze rozwiązanie.

– Mamoo! – zawołała Ruthie z łazienki w tej samej chwili, kiedy zadzwonił telefon oraz dzwonek u drzwi. – Zaraz! – zawołała do obojga, nie bardzo wiedząc, w jakiej kolejności się nimi zająć. Ze słuchawką przy uchu podeszła do drzwi. – Cześć, Bergan, zaczekaj moment.

– Mamo, już chcę wyjść! — wrzasnęła Ruthie w chwili, gdy Mackenzie otwierała drzwi. Na ganku stał John z bochenkiem chleba i butelką wina.

– Cześć. – Uśmiechnął się szeroko. – Doleciały mnie smakowite zapachy, więc pomyślałem, że się wproszę.

– Maamooo! – niecierpliwiła się Ruthie

– Mackenzie... jesteś tam? – dopytywała się Bergan.

– Witaj, John. – Gestem zaprosiła go do środka. – Bergan, przepraszam. Co się stało?

– O, to ja przepraszam. – Dopiero teraz zauważył, że Mackenzie rozmawia przez telefon.

– Nagły wypadek – odparła Bergan. – Dobrze słyszałam, że John jest u ciebie?

– Tak. – Ruchem warg poinformowała go, że rozmawia z izbą przyjęć. Przewrócił oczami. – Co się stało?

– W parku narodowym facet odpadł ze ściany. Poinformowali nas o tym strażnicy. Montujemy ekipę ratunkową. Potrzebuję ciebie oraz Johna.

– W porządku. Jakie obrażenia?

– Mamooo!

– Ja się nią zajmę. – John położył swój gościniec na stoliku, po czym

ruszył na piętro.

Mackenzie zamknęła drzwi. Spoglądała za nim, jednym uchem słuchając Bergan. On czuje się tak swobodnie w jej domu, wyręczają przy jej dziecku... Dziwne. Ale na miejscu.

Dwadzieścia minut później byli w szpitalnej izbie przyjęć. Mackenzie nie mogła wyjść z podziwu, jak szybko z pomocą Johna udało się zorganizować opiekę dla Ruthie.

Nim rozłączyła się z Bergan, John owinał Ruthie fioletowym ręcznikiem i zaniósł do pokoju, a gdy przysła ją wytrzeć i ubrać, zszedł do kuchni, wyłączył kuchenkę, a następnie zrobił kilka kanapek z dżemem truskawkowym. Dla Ruthie.

– Nie wiedziałem, dokąd ją zawieziesz, ale pomyślałem, że musi mieć coś do jedzenia – tłumaczył, gdy mu dziękowała. – Allingtonowie nie mają nic przeciwko jej wizytom, gdy musisz wyjechać do wypadku?

– Nic a nic. Oboje są emerytowanymi lekarzami, ich dzieci też są lekarzami, więc doświadczyli tego na własnej skórze. Mam szczęście, że trafiłam na tylu dobrych ludzi.

– To dlatego, że i ty im pomagasz. – Delikatnie uścisnęła jej dłoń.

– Hm... nie wydaje mi się – szepnęła, speszona nagłą reakcją swojego ciała.

– Naprawdę? Jak długo przyjaźnisz się z Bergan? Pamiętam ją z Sydney, więc chyba dłużej niż pięć lat.

– Bergan jest wyjątkowa. Poznałyśmy się w rodzinie zastępczej. Wspierała mnie. Miałam szesnaście lat, a ona siedemnaście, a w tym wieku to duża różnica. Postawiła sobie za cel odbić się od dna, na którym znajdowała się od dziecka. Raz nawet uciekłyśmy od rodziny, w której nas źle traktowano.

John uniósł brwi, a ona przytaknęła.

– To prawda. Wybrałyśmy się na Złote Wybrzeże, tutaj w Queenslandzie, i przez pół roku mieszkałyśmy na ulicy. Nie było lekko, czasami głodowałyśmy, ale wtedy Bergan się dowiedziała, że skoro jesteśmy zarejestrowane w systemie opieki zastępczej, to państwo może pokryć koszty naszych studiów. – Rozłożyła ramiona. – I tak zrobiłyśmy. Wróciłyśmy do Nowej Południowej Walii i poszłyśmy na medycynę. Bergan w kółko mi powtarzała, że jestem inteligentna i mogę osiągnąć wszystko, co zechcę, pod warunkiem że będę ciężko pracować. I to się sprawdziło. Wszystko jej zawdzięczam, ale w zamian nic jej nie dałam.

– Myślę, że ona widzi to inaczej.

Nie dziwiła go jej niska samoocena. Pracując w Australii oraz Wielkiej Brytanii, zdążył się zorientować, że wychowanie w rodzinach zastępczych nie jest budującym doświadczeniem. Mackenzie pokonała wiele przeszkód, osiągnęła dużo, więc nie należy się dziwić, że gdy prosi o pomoc, ludzie bez wahania jej pomagają. Uszczęśliwiony patrzył na uśmiechniętą twarz pani Allington, gdy Mackenzie przekazywała jej Ruthie.

– Łóżko już na nią czeka. Trochę się pobawimy, a potem poczytamy bajeczki. – Starsza pani klasnęła w dłonie, a Ruthie promieniała. – Będzie fajnie.

Kiedy na oddziale ratunkowym ekipa poszukiwawcza czekała, aż Bergan skończy rozmowę telefoniczną, John miał okazję przyjrzeć się Mackenzie w gronie kolegów. Wyjątkowo inteligentna, sympatyczna i piękna. Pewien, że tak siebie nie postrzega, uznał, że musi ją o tym przekonać.

W pewnej chwili spojrzała na niego, a gdy się zorientowała, że ją obserwuje, zrobiło się jej gorąco. On naprawdę jest nią zainteresowany. To

odkrycie sprawiło, że aż zakreśliło się jej w głowie. Oderwała od niego wzrok, dopiero gdy Bregan wyłączyła telefon, ale by nie stracić równowagi, oparła się o najbliższe krzesło.

– Uwaga, chłopaki i dziewczyny! – zawołała Bergan. – Mam nowe informacje od strażników z parku. Przykra sprawa, bo nasz pacjent... jest jednym z nas. – Teraz już wszyscy zamienili się w słuch. – To Stan Greggorio.

Zebrani jęknęli.

– Czy ktoś już zawiadomił Annę? – zapytała Mackenzie.

– Anna z synami już tu jedzie.

– Dzisiaj po południu mi mówiła, że Stan wybiera się na wspinaczkę. – Mackenzie potrząsnęła głową. – Biedny Stan.

– Ale go uratujemy – oświadczyła Bergan. – Na parkingu parku narodowego będzie czekał na nas strażnik. – Wskazała plan parku na ekranie komputera. – Stan znajduje się na tym obszarze. Strażnicy już ustawili reflektory, bo akcja nie zakończy się przed zachodem. Stan odpadł od pionowej ściany, więc John, nasz nowy ordynator ortopedii, będzie miał szansę się wykazać.

– Z przyjemnością.

– Mackenzie zjedzie z tobą. Ustabilizujecie Stana i przygotujecie do transportu na górę, gdzie przejmę go ja z Katriną. – Bergan przeszła do omówienia kolejnych punktów akcji. Mackenzie tymczasem popełniła błąd, spoglądając na Johna, który do niej mrugnął. Poczowała że nogi się pod nią uginają, co w tej sytuacji było chyba niepraktyczne. Gdy z trudem odwróciła wzrok, Bergan rzuciła jej spojrzenie pełne dezaprobaty.

– Mackenzie, przez cały czas go podrywałaś – ofuknęła ją po odprawie. – Z jednej strony tego nie pochwalam, ale z drugiej, w skrytości duszy bardzo

się cieszę.

– Dlaczego?

Bergan szeroko się uśmiechnęła.

– Pamiętam, jak pięć lat temu się tobą opiekował i jaka byłaś rozczarowana, kiedy zniknął. Ale, kochana, musisz uważać, jak na niego patrzysz.

Mackenzie poczuła, że palą ją policzki.

– Jestem czerwona? – Bergan przytaknęła. – O nie.

– Domyślam się, że przyjechaliście jednym samochodem. Co on u ciebie robił, jak zadzwoniłam, no? – Popatrzyła na Mackenzie spod półprzymkniętych powiek.

– Ej, przestań mi dokuczać! Zajmij się lepiej akcją poszukiwawczą.

Bergan odrzuciła długi rudy warkocz na plecy.

– Jako kobieta renesansu potrafię łączyć jedno z drugim. – Przytuliła Mackenzie. – Siostrzyczko, bądź ostrożna – szepnęła jej do ucha. – O, jest już Anna.

– Chodźmy do niej.

John z uznaniem obserwował, jak Bergan i Mackenzie pocieszają Annę i jej przerażonych kilkunastoletnich synów. Był pełen podziwu dla Mackenzie.

Tak, jego nowym celem w życiu będzie przekonanie Mackenzie, że jest wspaniałym człowiekiem. Uśmiechnął się. Nie będzie łatwo, ale ktoś musi się tego podjąć.

Gdy szpitalnym mikrobusem jechali do parku narodowego, siedział tuż obok Mackenzie.

– Jak Anna to przyjęła? – zapytał ją. Odwróciwszy się do niego, zbyt późno się zorientowała, że to błąd.

– Eee... hm... – Opuściła wzrok na jego wargi, – Można powiedzieć, że nieźle. Chciała z nami jechać, ale Ber– gan jej to wyperswadowała.

– Nie byłaby w stanie zachować zimnej krwi – zauważył. Mówił półgłosem, ale ona czuła, jak napięcie między nimi narasta, mimo że przecież byli w pracy. Kiedy spoglądała na niego w ten sposób, nie myślał o niczym innym jak tylko o tym, by wziąć ją w ramiona.

Jej bliskość sprawiała, że poziom adrenaliny skakał mu bardziej niż podczas uprawiania sportów ekstremalnych na przestrzeni wielu, wielu lat. Mackenzie prowadziła go na nowe wysokości, na nowe obszary emocji, na których nie spodziewał się kiedykolwiek znaleźć.

– Muszę cię pocałować. Zaraz – mruknął.

– Muzyka dla moich uszu – odparła rozbawionym tonem, ale on potrząsnął głową.

– Jak możesz robić mi coś takiego?

– O co ci chodzi?

– Przy tobie czuję się cholernie silny i zarazem zagubiony. Kurczę, nie mogę pozbierać myśli.

– Naprawdę? – Gdy spojrzała mu w oczy, jej uśmiech przygasł. – Przepraszam.

– Nigdy mnie za to nie przepraszaj – powiedział, gładząc ją po policzku. – Mnie to sprawia przyjemność. Ogromną. – Wpatrywał się jej w oczy, dopóki mikrobus nie podskoczył na jakiejś dziurze, przywołując ich do rzeczywistości.

Mackenzie próbowała się od niego odsunąć.

– Skupmy się na zadaniu – mruknął bardziej do siebie niż do niej.

– Słusznie.

Na parkingu w parku czekał na nich strażnik Ted. Pokrótce opowiedział

o ukształtowaniu terenu oraz zalecił, by zabrali z sobą cały potrzebny sprzęt.

– Jak długo tam się idzie? – zapytała Bergan.

– Piętnaście do dwudziestu minut. Najpierw pójdziemy szlakiem, ale dalej będzie bardzo nierówno, więc bądźcie czujni.

Słowa Teda się potwierdziły, wkrótce cała ekipa uważnie patrzyła pod stopy. Mackenzie i John szli na samym końcu. Kiedy pokonywali kamienisty wzgórek, z podziwem patrzyła, z jaką lekkością i jak pewnie John przeskakuje z kamienia na kamień.

– Od razu widać, że lubisz takie wyrypy – zauważyła.

– Oczywiście. Wszędzie, gdzie się znajdę, są jakieś nowe góry, nowe widoki, nowe wyzwania.

– Od dawna masz takie hobby?

– Polubiłem to już jako nastolatek, zwłaszcza po śmierci rodziców. Późno mnie splotzili, więc moje siostry, o których już ci wspominałem, są dużo ode mnie starsze. Wędrówki, penetrowanie jaskiń i wspinaczkę uprawiałem, żeby się uwolnić od ich opiekuńczości.

– Żeby się zrelaksować.

– Właśnie.

– Ja czytam. Kiedy czytam, świat przestaje dla mnie istnieć.

– Masz ulubione książki?

– Trudno powiedzieć. – Zdecydowała się zadać mu bardzo osobiste pytanie, mimo że nie wiedziała, jak zareaguje. – Czy po stracie rodziny też uciekałeś w góry?

W jej spojrzeniu wyczytał bezgraniczną troskę.

– Tak. Chciałem być blisko natury, oglądać jej dziewicze piękno. To... bardzo mi pomogło odzyskać równowagę.

– Rozumiem.

Dotknął jej ręki.

– Tak jak rozmowa o tym z osobą, która chce tego wysłuchać.

– Zawsze, kiedy zechcesz – odrzekła wzruszona.

– Ej! – zawołała Bergan od czoła grupy, groźnie na nich spoglądając. –

Może byście się trochę przyspieszyli?

Mackenzie i John wymienili uśmiechy.

– Przepraszamy!

Mieli na sobie żółto–niebieskie kombinezony ratowników, a gdy dotarli na miejsce, okazało się, że ich przewodnicy przynieśli też uprząże wspinaczkowe i resztę potrzebnego sprzętu. Słońce już niemal zaszło, więc włączono reflektory oraz lampki na kaskach.

– Gordon, słyszysz mnie? – zapytał Ted przez walkie–talkie.

– Słyszę cię doskonale – odparł Gordon. – Jesteście na miejscu?

– Właśnie przyszedliśmy, jak pacjent?

– Jeszcze nie udało się nam go wydostać. Na razie zabezpieczyliśmy miejsce ewakuacji, więc dotarliście w samą porę. Lekarze gotowi do zejścia?

– Wkładają uprząż – poinformował go Ted.

– Opuszczając się już na linie? – zapytał John.

Z wprawą zapinał klamry i zaciągał taśmy, za to Mackenzie wkładała nogę w niewłaściwy otwór.

– Tak. Przeszłam szkolenie i brałam udział w kilku akcjach. Nie mam żadnych problemów, jak już założę uprząż, ale...

– Czekaj. – Z szerokim uśmiechem przejął od niej uprząż, po czym ustawił tak, by mogła w nią wejść. – Pozwól, że pomogę ci włożyć coś bardzo niewygodnego.

– Nie drwij ze mnie – prychnęła.

– Ja z ciebie drwię? – Zapinał jej klamry. – Przenigdy. – Następnie

przypiął linę i sprawdził, czy jest dobrze umocowana. Strażnik Ted też mógł to zrobić, ale on chciał mieć pewność, że Mackenzie jest w stu procentach bezpieczna. W końcu włożył jej kask. – Ostatni krzyk mody – stwierdził, włączając lampkę na kasku.

– Jasne. Kto jak kto, ale ty na modzie znasz się najlepiej. – Sięgnęła po podręczną apteczkę, żeby ją przypiąć do paska.

– Możecie już przestać flirtować? – zapytała Bergan. – I przygotować się do zejścia?

– Jesteśmy zvarci i gotowi! – zameldowała Mackenzie, czując przyływ adrenaliny. John tylko przytaknął, po czym ruszył na skraj ściany.

Położył się na krawędzi, by przyjrzeć się drodze na dół. Na sam ten widok Mackenzie poczuła skurcz żołądka, na moment opuściła ją odwaga. Gdyby spadł...

– John bardzo pewnie się czuje na tej krawędzi – skomentowała Bergan.

– A ja konam ze strachu.

– Twój rycerz z krwi i kości – rzekła Bergan, potrząsając głową. – Mackenzie, zasłużyłaś na bezgraniczne szczęście. – Obserwowały, jak John wstaje z ziemi i wdaje się w rozmowę z Tedem. – Jeżeli ten człowiek może ci je dać, to nie wahaj się ani chwili.

Czy ten człowiek potrafi zagwarantować jej szczęśliwe życie aż po grób? Czy wyjedzie, kiedy wygaśnie jego umowa ze szpitalem? I dalej będzie wiódł żywot wędrowca?

Wyszedł z pokoju Ruthie przytłoczony wspomnieniami z przeszłości, ale od tej pory trochę się otworzył i zaczął mówić o swojej rodzinie. To chyba dobry znak?

Otrząsnęła się, ale mimo że w tej chwili twardo stała na ziemi, miała wrażenie, że zaraz rzuci się w przepaść. Miłości.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Gestem przywołał ją na skraj.

– Zjeżdżamy? – zapytała. U jego boku czuła się zdecydowanie pewniej.

– Sprawdzę ci linę – odezwał się Ted, ale John go ubiegł.

– Już to robię – powiedział, jeszcze raz pod okiem Teda dokonując przeglądu jej klamer, taśm i zacisków.

– W porządku. Możecie zjeżdżać. – Ted podniósł do ust walkie– talkie, by poinformować o tym Gordona.

– Asekuruję! – odrzekł Gordon.

– Jesteś gotowa? – John zwrócił się do Mackenzie.

– Gotowa.

– Zjadę pierwszy. Ty po mnie.

– Okej.

Stał na brzegu urwiska, przodem do ściany, mrugnął do Mackenzie, odepchnął się od krawędzi, po czym zniknął jej z oczu.

– Teraz ty – odezwał się Ted.

– Hm... Zrobię to trochę wolniej. – Znalazłszy się poniżej krawędzi, zaczęła powoli zsuwać się w przepaść.

– Już blisko! – usłyszała głos Johna. – Wspaniale.

Poczuła, jak jego ręce chwytają ją za stopy, po czym przesuwają się coraz wyżej, aż stanęła na skalnej półce.

– Mam ją! – zameldował. Chwilę później Gordon przekazał tę informację Tedowi.

Całą uwagę skupiła na bezwładnie leżącym na wznak wspinaczu, którego John już zdążył okryć folią termiczną.

– Stan? To ja, Mackenzie. Słyszysz mnie?

Bez odpowiedzi. John nałożył słuchawki.

– Drogi oddechowe drożne. Musiał uderzyć głową... – Obmacywał tył czaszki Stana. – Chyba pęknięcie.

Mackenzie przechyliła głowę, by czołówką oświetlić twarz Stana.

– Widzę krew pod głową, tak, musi tam być rana. – Podała Johnowi opatrunek, po czym zaczęła badać reakcję źrenic. – Niemrawa. Podejrzewam wstrząśnienie mózgu.

– Rana szarpana na udzie – stwierdził John. – Na szczęście tętnica udowa nietknięta, za to kość nie wygląda dobrze. Trzymaj tampon, a ja obetnę nogawkę.

– Widzisz jeszcze jakieś obrażenia? – Jedną ręką przyciskała tampon, drugą obmacywała pozostałe kończyny Stana. – Nie podoba mi się jego prawe ramię. – Zacisnęła palce, by policzyć tętno promieniowe.

– Podejrzewasz złamanie?

– Prawdopodobnie kości ramiennej oraz nadgarstka.

– Okej. Najpierw ustabilizujemy nogę.

Gdy już to zrobili, starannie owinęła Stanowi obie nogi folią, po czym ponownie go osłuchiwała.

– Drogi oddechowe nadal drożne, ale jest już po zachodzie, więc jak najszybciej należy go stąd zabrać.

– Zgadzam się.

– Stan! – zawołała jeszcze raz, oczekując reakcji.

– Chyba jednak miał szczęście – mruknął John. – Mogło być znacznie gorzej.

– Biedna Anna – westchnęła Mackenzie.

– Anna? – Był to ledwie słyszalny szept. Mackenzie błyskawicznie się

nad nim pochyliła.

– Stan, słyszysz mnie? To ja, Mackenzie.

– Mack... – Stan zaczynał odzyskiwać przytomność, a nawet chciał dotknąć głowy, ale John go powstrzymał.

– Chłopie, miałeś wypadek. Nie ruszaj się.

– Wypadek? Gdzie ja jestem?

– W parku narodowym – odparła Mackenzie. – Pamiętasz, co się stało?

– Jak to? – Stan był zdezorientowany, więc być może oprócz wstrząśnienia mózgu wystąpiła u niego amnezja.

– Leż spokojnie. Zaraz będziemy cię ewakuować.

Mackenzie aplikowała mu środek przeciwbólowy.

John tymczasem krzyknął do stojącego niżej Gordona, by przez walkietalkie poprosił Teda o spuszczenie kosza ratowniczego. Około pół godziny trwało przygotowanie oraz windowanie rannego na górę, gdzie przejęły go Bergan i Katrina.

– Udana akcja – oznajmił Ted, przybijając z Gordonem piątkę, gdy cała ekipa ponownie znalazła się na górze.

– Niesiemy go do karetki – zaordynowała Bergan.

Ratownicy ruszyli w drogę powrotną na parking. Mackenzie wiedziała, że po zakończonej sukcesem akcji powinna ukoić nerwy, ponieważ czeka ją jeszcze operacja Stana. Towarzyszyli mu w karetce, a w szpitalu przewieźli na oddział radiologiczny, gdzie czekała na nich Anna z synami. Nareszcie mogli się naocznie przekonać, że ich mąż i ojciec, choć poturbowany, na pewno przeżyje.

– Mogę być przy operacji? – Z tym pytaniem Anna zwróciła się do Mackenzie.

– Myślisz, że to dobry pomysł? Chyba lepiej będzie, jak zostaniesz z

chłopcami.

– Przyjechał ich stryj, brat Stana, a oni chętnie z nim posiedzą. Mackenzie, proszę. Nie będę w zespole. Będę tylko patrzyła. Obiecuję nie przeszkadzać.

– Nie chodzi o to, że będziesz przeszkadzać. Chodzi o ciebie.

– Kochana jesteś. – Anna mocno ją przytuliła. – Ty tu rządzisz, więc muszę cię słuchać. – Spojrzała tam, gdzie w dalszym ciągu prześwietlano jej męża.

Mackenzie z kolei popatrzyła na Johna. Wzruszył ramionami.

– Nie widzę przeszkód.

– Być może to cię uspokoi. Okej, jak jesteś pewna, że tego chcesz...

Anna westchnęła z wyraźną ulgą.

– Tak, chcę. Dzięki.

– Wobec tego idę się przebrać – oznajmiła Mackenzie.

Wyszła z radiologii, pozostawiając Stana pod czujnym okiem Johna.

Dołączył do niej, gdy myła ręce przed operacją.

– Gotowa? – zapytał z promiennym uśmiechem.

– Tak. Dlaczego się uśmiechasz?

– Jesteś niesamowita – szepnął, po czym nim się zorientowała, musnął ją wargami.

– Nie rób tego – mruknęła.

– Przepraszam.

– Bo mnie rozpraszasz.

Wcale go to nie speszyło.

– Przepraszam – powtórzył.

– Nie wyglądasz na skruszonego.

Wzruszył ramionami.

– Jak poczujesz, że nie dajesz rady, to mi powiedz, a cię zastąpię. Wiem, jak trudno operować kogoś znajomego.

Zastanowiła się, czy i on doświadczył sytuacji, w której przyszło mu operować osoby nie tylko mu znajome, ale i kochane. Kaszlnęła.

– Musiałeś sam operować...? – wyrwało się jej.

– Moją żonę? Tak. Miała pęknięte płuco. Staralem się zrobić wszystko, co było w mojej mocy. – To powiedziawszy, łokciem wyłączył strumień wody i odwrócił się od Mackenzie.

Nie chciała sprawić mu przykrości, zwłaszcza że powinni mieć jasny umysł, zanim przystąpią do operacji. Czuła, że John niechętnie rozmawia o żonie i córeczce, ale też uważała, że dusi to w sobie zdecydowanie za długo, że woli tłumić emocje związane z ich stratą, niż się z nimi uporać.

Znała ten mechanizm. Wyniosła go z doświadczeń w rodzinach zastępczych, kiedy jej motto brzmiało: jedyną osobą, której możesz zaufać, jesteś ty sama. Jednak z biegiem lat i z pomocą takich ludzi jak Bergan zdała sobie sprawę, że inni też zasługują na zaufanie. Może teraz to ona powinna pomóc Johnowi zdecydować się na ten krok z przeszłości w przyszłość... Da Bóg, w przyszłość, w której znajdzie się też miejsce dla niej i dla Ruthie.

Podczas operacji Mackenzie czuła za plecami obecność Anny, ale ta zgodnie z obietnicą siedziała cicho.

– Dziękuję. – Odezwała się dopiero, gdy Stana wywieziono do sali pooperacyjnej, po czym serdecznie uścisnęła Mackenzie.

– Idź już do niego. I nie zamęcz koleżanek pielęgniarek nadopiekuńczością.

Anna uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd przywieźli Stana do szpitala. John obserwował, jak spływa z niej stres, gdy po raz drugi objęła Mackenzie.

– Dzięki, kochana. – Ponad jej ramieniem spojrzała na Johna. – I tobie, John. Nie macie pojęcia, jak... Brak mi słów... wdzięczności.

– Dbamy o swoich – oświadczyła Mackenzie, po czym delikatnie wypchnęła ją za drzwi. – Dobrze, że już po wszystkim – westchnęła, zwracając się do Johna.

– Poszło ci bardzo dobrze.

– Umiem przełączać się z trybu emocji na tryb profesjonalny. – Dotknęła skroni. – Podejrzewam, że zawsze taka byłam. – Przeszła do drugiego pomieszczenia, by napisać raport. John ruszył za nią. – Od dziecka musieliśmy ukrywać emocje, żeby nie okazać słabości. – Potrząsnęła głową. – To smutne.

– Ale konieczne.

– Może czasami, ale nie chcę, żeby Ruthie rosła z takim przekonaniem. Chcę, żeby czuła się kochana, bezpieczna i doceniana nie tylko przeze mnie, ale i przez kogoś, kogo kiedyś poślubi. Chcę, żeby była wierzącą w siebie nastolatką, która nie musi pić alkoholu albo brać narkotyków, żeby zapełnić pustkę. Chcę, żeby ze mną rozmawiała, dzieliła się przemyśleniami i marzeniami. Nie chcę, żeby skrywała emocje, ignorowała mnie albo uczucia. – Z długopisem w ręce spojrzała na Johna. – Nie tego pragnąłeś dla Munehie? Żeby wyrosła na kobietę silną psychicznie i intelektualnie?

Przyglądał się jej tak długo, że zwątpiła, czy usłyszy odpowiedź. Trochę zawiedziona, że od razu się nie otworzył, wróciła do pisania raportu. Musi pamiętać, że chociaż już powiedział kilka słów o swoich bliskich, to nie znaczy, że nagle pęknie.

– Zaniosę to na pooperacyjny – powiedziała, skończywszy sprawozdanie.

Przemówił dopiero, gdy była przy drzwiach.

– Mackenzie, trudno mi o tym mówić. O nich. Chciałbym... Naprawdę.
– Wzruszył ramionami, po czym wziął ją za rękę. – Postaram się bardziej.

– Po co?

– Nie rozumiem. Jak to po co?

– Dlaczego masz się bardziej starać? Albo chcesz się otworzyć, albo nie. Albo chcesz, żeby to, co jest między nami, kwitło, albo nie chcesz. – Westchnęła. – Lubię cię – szepnęła. – Bardzo. – Dotknęła jego ręki. – Pierwszy raz w życiu nie mam wątpliwości, że między nami jest coś prawdziwego. Coś niepowtarzalnego, a jednocześnie strasznego, ale jeśli nie jesteś na to gotowy, to po prostu nie jesteś gotowy, a ja nie będę cię ponaglać.

Uśmiechnął się nieznacznie.

– Zawsze jesteś bezpośrednia i silna. To mi się w tobie podoba najbardziej.

– Dzięki. To dużo, ale myślę, że na razie powinniśmy zrobić krok wstecz, dać sobie trochę oddechu, a jak uznasz, że do tego dojrzałeś...

– Mackenzie – wszedł jej w słowo – To nie jest tak, że ja nie chcę o nich rozmawiać. Bardzo bym chciał opowiedzieć ci o naszym życiu, o naszych marzeniach i planach związanych z dzieckiem, ale na wspomnienie o nich wraca tamten ból oraz żal, że te plany nie doczekały się realizacji.

Kiwała głową.

– Rozumiem to, naprawdę, ale żeby rany zaczęły się goić, musisz skonfrontować się z tym bólem. Pozwoliłeś sobie je opłakać? Czy uważałeś, że musisz być silny, żeby przetrwać? Udowodnić sobie, że skoro byłeś silny za ich życia, potrafisz być równie silny bez nich? Że ich opłakiwanie byłoby oznaką słabości?

– Albo że wpadnę w czarną bezdenną otchłań i już nigdy się z niej nie wydostanę – warknął, a w jego oczach błysnęła tłumiona złość. Mackenzie

pokiwała głową. Złość jest na miejscu, złość oznacza przełom.

– John, musisz znaleźć się w tej otchłani. Musisz stanąć oko w oko ze stratą. Musisz odbyć żałobę.

Rozłożył szeroko ramiona.

– A jak się stamtąd nie wydostanę? – zapytał tonem człowieka na krawędzi rozpaczy.

Bardzo dobrze знаła ten rodzaj rozpaczy, ale też nie zapomniała, że gdy przyszło jej się z nią skonfrontować, otaczały ją jego ramiona. Miała gdzie się wypłakać.

Dotknęła jego policzka.

– John, wyjdiesz z tej otchłani, przysięgam.

– Jak? Na jakiej podstawie mi to przysięgasz?

– Bo będziesz przywiązany do liny. Na jej drugim końcu będę ja i cię wyciągnę. Wyciągniemy cię ja, Ruthie, Bergan, Allingtonowie, Anna i bez wątplenia Stan. Masz wokół siebie ludzi, którym na tobie zależy. Podejrzewam, że oprócz nas jest mnóstwo innych, z którymi kiedyś pracowałeś, a którzy są gotowi cię wspierać, nie wspominając o twoich siostrach i siostrzeńcach.

Wspięła się na pałce, by pocałować go w policzek.

– John, nie jesteś sam. Byłeś przy mnie, kiedy najbardziej tego potrzebowałam. Wtedy to ty trzymałeś linę, na której zapadałam się w mroczną otchłań, i dodałeś mi sił oraz wiary potrzebnej, żebym się z niej wynurzyła.

– Byłem z tobą tylko przez...

– Nieważne, jak długo byliśmy razem ani to, że przekazałeś linę Bergan, co z perspektywy czasu oceniam jako słuszne. Myślę, że gdybyś został, mogłabym się od ciebie za bardzo uzależnić, a wtedy nie tego

potrzebowałam. – Uśmiechnęła się. – Byłeś moim rycerzem w srebrnej zbroi i nigdy nie zdołam ci się za to odwdzięczyć, ale mogę się odwzajemnić. John, jestem przy tobie nie tylko w roli przyjaciela, ale również w roli przyszłej partnerki. Liczę na trwały związek. Do końca naszych dni.

Odsunęła się, czując, że być może powiedziała za dużo, ale nie mogła się powstrzymać.

– Moim zamiarem nie jest straszenie cię albo wywieranie nacisku. Staram się tylko być z tobą szczerą. – Dotknęła notatek. – Zaniosę to na pooperacyjny i zajrzę do Stana – powiedziała z ręką na klawiszach. – Daj mi znać, kiedy będziesz gotowy.

Patrzył na nią. Jego uwadze nie uszło, jak rozkosznie kołysała biodrami. Nawet w bezkształtnym stroju operacyjnym wydała mu się piekielnie pociągająca. Kurczę, zawróciła mu w głowie, ale kodeks spisany i przyjęty przez Johna Watsona tego zabraniał. Mimo to mówiła do rzeczy, a on zaczynał się domyślać, że być może już się znajduje w mrocznej otchłani, nawet o tym nie wiedząc.

Zacisnął powieki, próbując sobie wyobrazić, że znajduje się w ciemnościach, a gdy uniesie głowę, wysoko w górze dojrzy plamkę światła oraz promienny uśmiech Mackenzie.

Za bardzo się do niej przywiązał, za szybko. Nie wolno mu zaczynać nowego życia, jeżeli Jacqueline i Mune– hie zostało ono odebrane. Serce pękało mu z bólu, gdy okazało się, że nie potrafi ich uratować mimo całej swojej wiedzy, doświadczenia oraz dostępnych środków. Siedział i patrzył, jak umierają, jak ucieka z nich życie. Przez te wszystkie lata żałował, że nie umarł razem z nimi, bo wtedy przynajmniej byłiby razem. Ale nie o to chodzi.

Mackenzie miała problemy, z którymi musiała się uporać, ale dokonała tego, więc i on to zrobi. Tak, mówił, że chce jej opowiedzieć o swojej rodzinie

i, owszem, docenia jej wsparcie, ale do tego nie dojrzał. Do tego dochodzi też to, że nie może przestać o niej myśleć, że chce ją obejmować, całować, być z nią, oraz że dręczy go poczucie winy.

Pospiesznie otworzył oczy. To za dużo. Za dużo, żeby to przetrwać, żeby o tym myśleć. Jego przeszłość jest jego przeszłością i tam pozostanie. Musi nieco ostudzić znajomość z Mackenzie, narzucić dystans, by się zastanowić, co dalej.

Wyprostował się i energicznym krokiem ruszył w stronę przebieralni, zatrzasnąjąc w myślach klapę prowadzącą do otchłani. Nie. Jest silniejszy, nie wywlekając na wierzch przeszłości. Da radę. Dalej będzie kroczył wcześniej obraną ścieżką.

Taki jest, a Mackenzie może to zaakceptować albo zignorować. Jej wybór.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zanim wyszła do domu, zadowolona, że Stan jest stabilny i odpoczywa otoczony rodziną, nigdzie nie mogła znaleźć Johna.

– Widziałam go, jak rozmawiał z Leytonem – powiedziała Bergan, gdy Mackenzie zaszła na oddział ratunkowy.

– Co Leyton tu robił o tej porze? – zdziwiła się, pamiętając, że dyrektor zawsze trzymał się godzin urzędowania, a dochodziła północ.

– Nie wiem. John pewnie już wyszedł.

Mackenzie pokręciła głową.

– Wysłałby mi wiadomość.

– No cóż. Za pół godziny kończę dyżur, mogę cię podwieźć.

Mackenzie ściągnęła brwi, zastanawiając się, czy rzeczywiście John mógł wyjść ze szpitala, nie informując jej o tym. Być może tym razem zbyt mocno przyparła go do muru. Powiedział, że może rozmawiać o swojej rodzinie, ale pewnie oznaczało to, że tylko na jego warunkach, kiedy uzna za stosowne. Że nie życzy sobie, by zaskakiwała go pytaniami w najmniej odpowiednich momentach.

Mimo to wierzyła w swoje słowa. Już na studiach, na zajęciach z psychologii, uczono studentów o różnych stadiach żałoby oraz że lepiej dać jej upust, niż ją tłumić. Jego ciągle przeprowadzki, sześć miesięcy tu, rok tam, jego niechęć, by się przed kimkolwiek otworzyć, to nie jest normalne zdrowe życie. To właśnie on pomógł jej to sobie uzmysłowić, więc dlaczego sam nie może tego zrozumieć?

Zawróciła na oddział ortopedyczny, gdzie zastała go w jego pokoju.

– Cześć, szukałam cię.

Spojrzał na nią tak, jak by była przezroczysta. Zdrętwiała ze strachu, bo intuicja jej podpowiadała, że nie jest dobrze.

– Coś się stało? – zapytał rzeczowym tonem.

– Nie, nic. Stan ma się coraz lepiej, niedługo zostanie przewieziony na intensywną opiekę. Anna, co zrozumiała, już nieco ochłonęła. Chłopców zabrał do siebie stryj, żeby mogła tę noc spędzić przy Stanie.

– To dobrze, bardzo dobrze – odparł i pochylił się nad papierami.

Podszedłszy bliżej, zorientowała się, że wypełnia zgłoszenie udziału w konferencji ortopedów mającej odbyć się za tydzień w Sydney. Podobne plany miało jeszcze dwóch lekarzy, co już oznaczało chwilowy brak obsady w poradni. Jeżeli wyjedzie również John, spadną na nią dodatkowe godziny w pracy.

– Wybierasz się na tę konferencję?

– Tak. Leyton sobie zażyczył, żebym pojechał i wygłosił referat.

– Mm...

– Więc muszę to teraz wypełnić, zeskanować, skopiować i wysłać mejlem do kogo trzeba, żeby już jutro zajęli się funduszami, zastępstwami itp. Potem muszę wygrzebać swój zeszłoroczny projekt, który realizowałem w Bangladeszu, przeredagować abstrakt i przedłożyć go komisji. Wszystko dlatego, że w ostatniej chwili wycofało się dwóch uczestników.

– Aha. – Zastanawiała się, skąd w nim ta nagła zmiana. Bo jest zajęty? Wiedziała z doświadczenia, że wyjazd na konferencję to nie tylko kwestia spakowania walizki, zwłaszcza gdy sponsorem jest szpital.

Może to coś innego? Jego chłód sprawił, że ogarnęło ją poczucie winy. Stała, bezradnie się zastanawiając, jak się zachować. Nienawidziła niepewności, wołałaby, żeby prosto w oczy powiedział, czym zawiniła.

– Hm... Wobec tego inaczej sobie zorganizuję powrót do domu. –

Odwróciła się i ruszyła do drzwi.

Odłożył długopis, zamknął na moment oczy, potarł czoło, po czym ją zawołał.

– Mackenzie, zaczekaj! – Wstał, ale nie podszedł do niej. – Zapomniałem, że przyjechaliśmy moim autem, przepraszam.

– Nie ma sprawy. Mamy za sobą pracowity wieczór. Muszę odebrać Ruthie.

– Nie wolisz, żeby resztę nocy spędziła u Allingtonów?

– Wykluczone. Po pierwsze, to moje dziecko, a po drugie, nie pozwolę, żeby o świcie zerwał ich z łóżek jej radosny świergot. Ruthie zaczyna mówić, jak tylko otworzy oczy. Zaczynają się pytania, a wraz z nimi śmiechy, a mnie za mniej więcej sześć godzin bardzo dobrze to robi.

Z podziwem potrząsnął głową.

– Idealna z ciebie matka.

– Staram się. – W dalszym ciągu była na niego lekko obrażona. – No, wracaj do pisania. Zobaczymy się... jak się zobaczymy.

Była już na korytarzu, gdy przemówił ponownie.

– Mackenzie, przepraszam. Myślałem, że potrafię... – Nie odwróciła się, ale nie miał jej tego za złe. Źle ją potraktował, ale być może zachowanie pewnego dystansu jest w tej sytuacji wskazane. – Zaczekaj.

– John, daj spokój. – Spojrzała na niego przez ramię. – Wydawało mi się... miałam nadzieję, że jesteśmy na tych samych częstotliwościach.

– Jesteśmy... na pewnym poziomie.

– To za mało. Mam za sobą związek, który okazał się jednostronny, pełen kłamstw, zdrad i biernej agresji, kiedy Warick sprawiał, że czułam się wszystkiemu winna. – Teraz patrzyła mu w twarz. – John, ja nie muszę mieć partnera. Było mi bardzo dobrze, zanim się tu zjawiłeś.

– Mimo to mówiłaś, że śnię ci się po nocach.

– To prawda, ale okazuje się, że to tylko sny. One nie wyrządzą mi krzywdy. Są wytworem mojej wyobraźni, światem, w którym jestem z mężczyzną, który mnie kocha i szanuje. – Zamrugła, by powstrzymać łzy. Nie mogę się rozsypać akurat teraz, pomyślała. – Wierzę we wszystko, co powiedziałam. Uważam, że sobie nie radzisz ze śmiercią swoich bliskich, więc dopóki tego nie przepracujesz, lepiej będzie, jak zostaniemy wyłącznie sąsiadami i kolegami z pracy.

– A przyjaciółmi?

– Jak będziesz mnie potrzebował, nie odmówię.

– Żeby spłacić dług? Żeby mi pomóc tak, jak ja pomogłem tobie? – Chyba nie do końca rozumiał, dlaczego Mackenzie wyraża chęć pomocy.

Roześmiała się ponuro.

– Panie święty, jak na faceta inteligentnego jesteś wyjątkowo tępy! – Westchnęła, zastanawiając się, jak do niego dotrzeć. – Nie przeczę, że odegrałeś ważną rolę w moim życiu i nieraz będę ci dziękować, że byłeś silny, kiedy byłam słaba, ale już odpłaciłam za tę dobroć, organizując sobie życie, ufając sile, którą we mnie dostrzegłeś.

– John – ciągnęła po chwili przerwy – widzę w tobie taką samą siłę do konfrontacji z przeszłością, ale jesteś teraz zbyt pochłonięty łataniem pęknięć, które wywołałam w twojej skorupie. Rozumiem to, naprawdę. Jednak dopóki nie rozbierzesz muru, jakim się otoczyłeś, nic prawdziwego nie ma szansy zaistnieć między nami.

Gdy wsunął ręce do kieszeni, odczytała to jako sygnał, że znowu zamyka się w sobie.

– Podobasz mi się i wiem, że i ja się tobie podobam. Nie jestem jak inne kobiety, z którymi być może kiedyś byłeś, bo szczerze mi na tobie zależy i

chcę, żebyś znalazł spokój, którego w twoim życiu nie ma, spokój, od którego uciekasz od ośmiu lat. – Uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Do zobaczenia, doktorze Watson.

Idąc korytarzem, modliła się, by ją zawołał, pobiegł za nią, objął i pocałował, by powiedział, że jest gotowy nie rozpamiętywać przeszłości i pójść razem z nią w przyszłość. Kiedy tego nie zrobił, rozplakała się.

– Ruthie ciągle się o niego dopytuje – pozaliła się, gdy we cztery spotkały się w kawiarni.

Sunainah i Regina właśnie skończyły dyżur, Mackenzie i Bergan dopiero miały go zacząć. Odprowadziła Ruthie do szkoły i prosto stamtąd przyszła do kafejki szukać ratunku u przyjaciółek.

– Jak wam się układa w pracy? — zapytała Sunainah.

– Oboje jesteśmy skrepowani. Rozmawiamy tylko wtedy, kiedy to jest absolutnie konieczne. Na szczęście na kilka dni wyjechał do Sydney, więc mam trochę oddechu, ale wraca już jutro.

– Jutro masz wolne, prawda?

– Tak. Zamieniłam się z Sonnym. Sobota należy do Ruthie, więc po porannym obchodzie resztę dnia spędzimy razem. Ale od poniedziałku znowu zacznie się ten kontredans unikania. – Potrząsnęła głową. – Zdaję sobie sprawę, że nie powinnam była tak się spieszyć, ale...

– Nie mogłaś się powstrzymać – rzekła cicho Bergan, kładąc jej dłoń na ramieniu. – Pierwszy raz widzę, żeby facet tak błyskawicznie zawrócił ci w głowie.

– Teraz Ruthie za nim tęskni. Powinnam była działać rozsądniej.

– Może byś przestała tak się katować? – zapytała Reggie, posyłając jej krzepiący uśmiech. – Wszystko się ułoży. Czuję to.

– Bardzo mi miło. – Dziobnęła kawałek jajecznicy. Kompletnie straciła

apetyt. – Reggie, muszę wierzyć w twój optymizm, bo na razie nie widzę szczęśliwego zakończenia.

– Wiesz, czego ci trzeba? – ciągnęła Regina.

– Prześwietlenia mózgu?

Sunainah i Bergan wybuchnęły śmiechem, ale Mackenzie odłożyła widelec i ukryła twarz w dłoniach.

– Reggie, czego mi trzeba?

– Wycieczki na łono natury. Ja też jutro mam wolne, więc może wybierzemy się do lasu?

– O, to bardzo dobry pomysł – stwierdziła Sunainah. – Ruthie kocha przyrodę, a ty się zrelaksujesz.

W pierwszej chwili Mackenzie skreśliła ten pomysł. Park narodowy pełen był pięknych wspomnień związanych z Johnem, ale jeśli dalej ma podążać swoją drogą, musi to ścierpieć. Poza tym byłoby nie fair odmawiać Ruthie takiej przyjemności.

Odśloniła twarz i popatrzyła na koleżanki. Nigdy nie skąpiły jej wsparcia, ratowały ją, gdy miała duże i małe problemy. Kto pomoże Johnowi? Tak, to on jest zamknięty, a jego siostry pewnie nawet nie zdają sobie sprawy, jaki ciężar nosi w sercu. Nikt, dzień po dniu, nie stara się wywołać na jego twarzy uśmiechu, nie pomaga mu wyjść z mroku i zacząć żyć na nowo,

– Co ty na to? – zapytała Reggie.

– Myślę, że to genialny pomysł – odparła.

Kilka godzin później przyjechała po Ruthie do babci Liz. Nie mogła się powstrzymać, by na powitanie jej nie poinformować o weekendowych planach.

– Zabierzemy też Johna – oświadczyła dziewczynka. – Bardzo mu się

tam podobało i...

– John jutro pracuje – przerwała jej Mackenzie; – Przykro mi, skarbie.

Za to spotkamy się tam z Reggie.

– Och... – westchnęła Ruthie. – Tak dawno go nie widziałam.

– Pojechał na konferencję – wyjaśniła Mackenzie, skręcając w ich uliczkę.

– Widzę go, widzę! – zapiszczała Ruthie, rozpinając pasy i wyskakując z auta, nim Mackenzie zdążyła ją zatrzymać. – John! John! – Szedł z torbą podróżną w stronę domu. Na jej widok postawił torbę na ziemi i szeroko rozpostarł ramiona.

Mackenzie obserwowała tę scenkę ze ściśniętym sercem. Jak ojciec i córka po długim rozstaniu. Na twarzy Johna malował się błogi uśmiech.

Miała cichą nadzieję, że jednak zechce przełamać ograniczające go bariery i w końcu dopuści do siebie je obie. Nie wiadomo, kiedy i jak to się stało, ale ten człowiek wtargnął do jej życia i zamieszkał w jej sercu. Teraz chyba zamierzał je złamać.

Nie zdobyła się, by przyjaciółkom, nawet Bergan, wyznać, jak bardzo jej Johna brakuje. Że nie może spać, a kiedy już zaśnie, to budzi się zapłakana. Miniony tydzień był trochę łatwiejszy, bo go nie widywała, co trochę złagodziło poczucie straty.

Przystanęła z boku, jakby zatrzymała ją niewidzialna bariera, przysłuchując się szczebiotowi córeczki wtulonej w Johna, a on słuchał, kiwał głową i przytakiwał. W końcu Ruthie na chwilę zamilkła.

– Cześć – powiedział, przenosząc na nią spojrzenie.

– Cześć. – Obserwowała, jak jego uśmiech, najpierw otwarty, ten przeznaczony dla Ruthie, staje się wyczekujący, ten dla niej. – Udana konferencja?

Wzruszył ramionami.

– W porządku. – Milczeli. Mimo szczebiotu Ruthie, która już złapała oddech, w powietrzu wyczuwało się nieprzyjemne napięcie.

– Jutro znowu pojedziemy do lasu – paplała Ruthie. – I spotkamy się tam z Reggie, ale mama powiedziała, że ty nie możesz z nami pojechać, bo musisz pracować i było mi bardzo smutno, bo bardzo chciałam, żebyś z nami tam pojechał, ale cię zobaczyłam i bardzo się ucieszyłam, bo straaasznie się za tobą stęskniłam. – Przytuliła się do niego, a on opiekuńczym gestem położył jej dłoń na głowie. Mackenzie nie miała najmniejszej wątpliwości, że jest mocno związany z jej córeczką.

Wiedziała dobrze, co czuje Ruthie, więc przygryzła wargi, by nie okazać emocji. Jej też brakowało Johna i, to jasne, też chciała, by pojechał z nimi na tę wycieczkę, ale on zamknął przed nimi serce, a ona była bezradna. Jedyne co może zrobić, to znaleźć sposób na odseparowanie Ruthie od Johna.

– Hm... – Głos uwiązał jej w gardle. Kaszlnęła. – Już pójdziemy. Pora szykować się do spania.

– Nie! – Ruthie przywarła do Johna.

– Chodź. – Mackenzie nie była w nastroju, żeby znosić jej humory. – Musisz się wykapać.

– Nie chcę! – Gdyby Ruthie stała na ziemi, na pewno tupnęłaby nogą. Mackenzie szukała w myślach wybiegu, który wymógłby na dziecku współpracę.

– Możesz dzisiaj spać w moim łóżku. – Pomachała marchewką, a John spojrzał na Ruthie i przytaknął.

– Fajna propozycja.

– Ty też śpij z nami.

Dorośłym oczy zrobiły się jak spodki. Mackenzie natychmiast

przypomniały się różne senne obrazy.

– Hm... – John postawił dziewczynkę na ziemi. – Mama ma rację. Czekamnie mnóstwo pracy, więc... idź do domu. Jeszcze się zobaczymy.

Na samą myśl, że mógłby przekroczyć próg domu Mackenzie, krew zaczęła szybciej krążyć mu w żyłach. W trakcie konferencji jak nigdy czuł się zdezorientowany. Otaczały go setki ludzi. Z jednymi kiedyś pracował, innych dopiero poznał. Po prezentacji dostał dwie propozycje. Normalnie bez cienia wahania zgodziłby się na cykl wykładów gościnnych, ale nie wiadomo dlaczego tym razem go to nie pociągało.

Nie mogąc się uwolnić od niezadowolenia, opuścił konferencję dzień wcześniej i pojechał w Góry Błękitne, tam upajając się samotnością, zawędrował do miejsca... gdzie spotkał Mackenzie. Jakby to podświadomość doprowadziła go tam, gdzie wszystko się zaczęło.

Oparł dłoń na pniu tego samego drzewa i zamknął oczy. To tam ujrzał jej inteligentną uśmiechniętą twarz, oczy pełne blasku, różowe policzki, kuszące wargi, to tam usłyszał jej śmiech. Po raz pierwszy od lat oddychał pełną piersią. Mackenzie. Na myśl o niej uśmiechnął się, jakby ogromny ciężar spadł mu z serca.

– Mackenzie... – szepnął.

A teraz ledwie zajechał pod dom, Ruthie na powitanie rzuciła mu się na szyję. Naturalnym odruchem przygarnął ją do siebie, czując, jak przepelnia go szczęście i miłość dla tego dziecka.

– Przyjedziesz z nami do lasu? – dopytywała się Ruthie niecierpliwie, z czego można było wywnioskować, że już kilka razy go o to pytała, ale on myślał o jej pięknej matce.

– Postaram się – obiecał, zerkając na Mackenzie.

Wzruszyła ramionami, jakby było jej to obojętne.

Miał nadzieję, że tak nie jest, bo nie chciał być jej obojętny. Mimo że w Górach Błękitnych doznał czegoś, co równało się objawieniu, wyznanie jej tego to zupełnie inna sprawa.

– Okej, Ruthie. Idziemy do domu.

Ociągając się, wyraźnie niezadowolona, że musi rozstać się z Johnem, nie wzięła Mackenzie za rękę, tylko sama pomaszzerowała w stronę domu.

– Przepraszam za fatalne maniere mojej córki. Ostatnio nie czuje się najlepiej.

– Co jej jest? Chora? – szczerze się zaniepokoił.

– John, nic jej nie jest. – Już miała powiedzieć więcej, ale w porę ugryzła się w język.

– Ale powiedziałaś...

– Nieważne. – Wracała do swojego auta.

– Mackenzie, gdyby coś jej się stało, pozwól mi pomóc.

Spojrzała na niego.

– John, ona tęskni za tobą. Wypytuje mnie, co takiego zrobiła, że przestałeś się do niej odzywać. – Targały nią na przemian złość, frustracja i smutek. – Ona ma dopiero pięć lat i od razu cię pokochała. – Pociągnęła nosem, po czym spojrzała w niebo, by nie widzieć skruchy w jego oczach. – To moja wina. Nie powinnam była do tego dopuścić. Zajmę się tym. Już nie będzie ci się narzucać.

Bez słowa pozwolił jej odejść. Powinien za nią pobiec, zatrzymać, pocałować i przyznać, że zachował się jak skończony idiota, ale teraz jest bardziej pewny swoich uczuć i nie pozwoli, by od niego odeszły. Chciał powiedzieć, że też za nimi tęsknił... ale słowa uwięzły mu w gardle, więc bezradnie patrzył, jak znikają w domu.

Ruthie go pokochała? To... niesamowite. Fantastycznie, bo on też ją

kocha. A co z jej mamą? Okazał się zbyt zamknięty? Zbyt uparty? Już za późno?

Wszedł do pustego domu, postawił torbę na podłodze, po czym uderzył pięścią w ścianę.

– Ty idioto! – Dopiero przed chwilą, gdy patrzył, jak Mackenzie odchodzi, w końcu pojął, dlaczego tak bardzo do niej tęsknił.

Bo ją kocha.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– Zobacz, Reggie, zobacz! – Ruthie ciągnęła Reggie do papugi, która krążyła nad nimi. – Reggie, jak tu byliśmy z mamą, to ja ją głaskałam i dałam jej ziarno i ona jadła mi z ręki i to strasznie łaskotało! – Podniosła wzrok na Mackenzie, która zdobyła się na wymuszony uśmiech. – Prawda, mamó?

– Tak, kochanie.

– Mama i John robili mi zdjęcia. – Zamyśliła się. – Szkoda, że nie ma tu Johna. – Znowu popatrzyła na Mackenzie. – Dlaczego go tu nie ma?

Mackenzie rzuciła przyjaciółce pytające spojrzenie, ale ta tylko wzruszyła ramionami. Też czuła się bezradna. W trakcie trzygodzinnej wycieczki Ruthie raz po raz opowiadała jej, co w tym miejscu robili z Johnem. Za każdym razem Mackenzie czuła, jakby ktoś wbijał jej sztylet w serce.

– O, Ruthie, patrz! – Nad taflą jeziora kołował pelikan, który chwilę później z gracją osiadł na wodzie.

Ruthie skakała z radości, a Mackenzie naszała ponura refleksja, że do końca dnia przyjdzie jej na różne sposoby odciągać uwagę Ruthie, by przestała mówić o Johnie.

Mackenzie nie chciała o nim słyszeć, myśleć ani...

– Cześć... – Usłyszała za plecami znajomy niski głos. Błyskawicznie się odwróciła. Nie, to nie przywidzenie. Ma przed sobą Johna, który szeroko się uśmiecha.

– John! – Obiecał Ruthie, że się postara i się postarał, ale... dlaczego? Jeżeli postanowił nie mieć z nimi nic wspólnego, to lepiej, by trzymał się z daleka. Jej biedne serce miałoby wtedy szansę się ukoić.

Nim odzyskała głos, zauważyła go Ruthie.

– John, John, John! – Promieniejąc ze szczęścia, rzuciła mu się w ramiona. – Jesteś! Chciałam, żebyś przyszedł i przyszedłeś! Mamo, zobacz! Reggie! John przyszedł!

– Widzę – powiedziała Mackenzie, mocniej otulając się swetrem, mimo że wcale nie było zimno.

– John, przyleciała ta papuga!

– Widzę. – Uśmiechnął się do Ruthie. Wydawał się zrelaksowany i spokojny.

W sercu Mackenzie zatliła się iskierka nadziei. To możliwe? Czy jego obecność tutaj znaczy, że...? Wolała nie kończyć z obawy, że po raz kolejny się zapędziła.

– A ten pelikan przed chwilą usiadł na wodzie. – Przejęta Ruthie pokazywała dorodne ptaszysko. – John, chodźmy go obejrzyć.

Pocałował ją w policzek, po czym postawił na ziemi.

– Zaraz do ciebie przyjdę – powiedział – ale najpierw muszę porozmawiać z twoją mamą.

– Ale John... – Ruthie zrobiła obrażoną minkę.

– Mam ochotę na lody – odezwała się za ich plecami Regina. – Chodź, Ruthie, kupimy wszystkim lody, a potem wszyscy razem pójdziemy nad jezioro.

– Lody! – Ruthie się rozchmurzyła, po czym wzięła Reggie za rękę. Mackenzie uśmiechem podziękowała przyjaciółce.

– Ja dziękuję Reggie później. – John poprowadził Mackenzie do cienia pod rozłożystym drzewem.

– John, co ty...? – Zła, że ją zaskoczył, chciała cofnąć rękę, ale jej nie puścił, dopóki nie usiedli na trawie.

– Przepraszam, wiem, że się rządzę, ale mam nadzieję, że mi wybaczysz.

– Co mam ci wybaczyć?

– To, że jestem skończonym durniem.

– Ooo...?

– Mackenzie, miałaś rację. Nie uporałem się z żalobą, a prawdą jest... – Zawahał się i odetchnął głębiej.

Dopiero wtedy dotarło do niej nie tylko, jak bardzo jest zdenerwowany, ale i to, że bardzo mu trudno się otworzyć. Milczała, wiedząc, jak ważne jest, by się na to zdobył.

– Prawda jest taka, że... że nie wiem, jak to zrobić. Jak sobie z tym radzić. – Spoglądał na nią bezradnie. – Nie potrafię tego zrobić sam. Ale słusznie uważasz, że jeżeli mam pójść do przodu, żyć, a nie egzystować, muszę... skonfrontować się z tą stratą.

– Och, John. Oczywiście, że ci pomogę – wyszeptała wzruszona. – Dla ciebie zrobię wszystko. Wszystko.

– Bo masz u mnie dług?

– Nie. – Uśmiechnęła się, przewracając oczami. – Bo cię kocham.

Odetchnął z ulgą.

– Bałem się, że już wszystko stracone przez ten mój idiotyczny upór.

Potrząsnęła głową, podnosząc jego dłoń do warg, a on poczuł, że chociaż na to nie zasłużył, musi to docenić. Mackenzie go kocha!

– Chciałem ci opowiedzieć o Jacqueline i Mune– hie.

– John, nie musimy...

– Musimy. Musimy zacząć już teraz, bo zmarnowałem wystarczająco dużo czasu, więc chcę, żeby następny etap mojego życia zaczął się od tej chwili. Z tobą, a ty musisz znać historię mojej rodziny.

Wyczuwała, że jest mu bardzo trudno mówić, ale widząc jego determinację, pokochała go jeszcze mocniej. Czekwała cierpliwie. Po kilku głębokich oddechach i dłuższym namyśle spojrzął jej w oczy.

– Wróciliśmy z krótką wizytą do Tarparnii. Zabieraliśmy tam Mune–
hie kilka razy w roku, żeby nie traciła kontaktu ze swoimi korzeniami. Kiedy
tam przyjechaliśmy... – Zawahał się. – Jej wioska była maleńka, trzy szalasy i
około trzydziestu osób, wszyscy niedożywieni albo nękani chorobami... –
Wzruszył ramionami. – W pierwszej chwili nie zdawaliśmy sobie sprawy, że
pół wioski jest ciężko chore. Udało mi się wezwać przez radio kilku kolegów
lekarzy, z którymi kiedyś pracowałem w organizacji Pacific Medical Aid, ale
zanim przyjechali dwa dni później, zmarło dwudziestu z trzydziestu
mieszkańców wioski.

– O Boże. Taka tragedia...

– Okazało się, że to jakaś szczególna odmiana wirusa grypy endemiczna
wśród mieszkańców Tarparnii. Niestety, Jacqueline była osłabiona. Wyszła z
raka jajnika, ale bardzo długo chorowała po chemioterapii. Miała obniżoną
odporność i wirus zaatakował także ją. Doszło do pęknięcia płuca. Udało mi
się założyć dren, żeby usunąć płyn, ale miałem tylko podręczną apteczkę i
kilka podstawowych leków...

Mackenzie położyła mu palce na ustach.

– Przestań. Nie mów. – Czuła, że łzy płyną jej po policzkach. – Nie
musisz...

On też miał łzy w oczach.

– Nie mogłem jej uratować – wykrztusił.

– John, och, John. – Przytuliła go.

– To stało się tak szybko... Najpierw Mune– hie, a zaraz potem
Jacqueline – wyszeptał, wtulony w jej ramiona.

– John, współczuję ci z całego serca. – Musnęła wargami jego usta, by go pocieszyć, przekazać mu swoją miłość, pomóc w gojeniu ran. – Możesz mi wierzyć. Po tym, co przeszedłeś, już się nie dziwię, że chciałeś to blokować.

– Ale przyszedł czas – oparł się o pień – przyszedł czas to zrobić. Spojrzeć w przyszłość. – Potrząsnął głową. – Wyjazd na tę konferencję i samotność w anonimowym pokoju hotelowym uzmysłowiły mi, jak puste stało się moje życie i że za długo unikam ludzi.

– To nic trudnego, ale jeżeli brakuje kogoś, kto byłby kotwicą...

– Albo trzymał linę?

– Kogoś, kto trzyma nas w pionie. – Łzawo się uśmiechnęła. – Bez kogoś takiego nie jest łatwo.

– Wyjechałem z konferencji przed czasem. – Słyszając to, zdziwiona uniosła brwi. – Przedstawiłem swoją prezentację i dałem nogę. Czułem się tak osaczony, że pojechałem w Góry Błękitne i wybrałem się na wycieczkę.

– Znajdując piękno w przyrodzie. – Wskazała ramieniem malowniczy krajobraz przed nimi.

– Odnalazłem to drzewo, pod którym się poznaliśmy.

– Naprawdę? Nie sądziłam, że jesteś aż tak sentymentalny.

– Też się o to nie podejrzewałem. Przyłożyłem dłoń do pnia i poczułem, że znowu jestem z tobą, z Ruthie i z przyszłością, którą chcę budować. Z tobą, Mackenzie. – Spojrzał jej w oczy. – Wniosłeś do mojego życia tyle radości i światła, że już z nich nie zrezygnuję. Moja przyszłość jest tylko z tobą. Przepraszam cię, jeżeli w ostatnich tygodniach przysporzyłem ci smutku. – Rzucił jej pytające spojrzenie. – Wybaczysz mi?

– Jasne! – Pocałowała go serdecznie. – Kocham cię, John. Tego nie zmienisz, cokolwiek byś zrobił. We dwoje będziemy szczęśliwi i naszym szczęściem ogarniemy Ruthie i przyjaciół.

Nie odzywali się przez dłuższą chwilę, bo John musiał ją pocałować. Pozostała mu do wyjaśnienia jeszcze jedna sprawa, by miał absolutną pewność, że są jednej myśli. Zajrzał jej w oczy.

– Mackenzie, chyba powinniśmy porozmawiać o... dzieciach.

– Chcesz mieć więcej dzieci? – zdumiała się.

Przytaknął, po czym skierował wzrok tam, skąd wracała Regina z Ruthie.

– Ruthie mi pokazała, że mimo wszystko potrafię kochać dzieci. – Uśmiechnął się. – Wydawało mi się, że fajnie jest być facetem niezależnym, który nie potrzebuje nikogo, bo przecież na tym polega niezależność, nie?

Razem z Ruthie pokazałyście mi, że im bardziej się przed wami otworzę, tym bardziej się obnażę przed tymi, którzy mnie kochają, a co za tym idzie, stanę się jeszcze bardziej otwarty. Nie pozwoliłem tobie ani Ruthie na wtargnięcie do mojego życia... ale wy i tak to zrobiłyście. Jak na talerzu dostałem drugą szansę. – Pomógł jej wstać.

– Skorzystam z tej szansy, bo im bardziej będę szczęśliwy, tym większą wartość będę miał dla innych.

Zarzuciła mu rękę na szyję.

– John, dla mnie jesteś największą wartością.

– Dziękuję.

– Widzę, że sprawy przybrały optymistyczny obrót – zauważyła Regina, z wymownym uśmiechem wręczając im lody.

– Dlaczego całowałeś mamę? – zapytała Ruthie.

– Hm... – Spojrzał na Mackenzie, która wzruszyła ramionami. – Bo... – Ku zaskoczeniu Mackenzie przykląkł, by coś szepnąć Ruthie do ucha. Dziewczynka się rozpromieniła.

– Teraz? – zapytała.

– Wkrótce.

– Co wkrótce? – zainteresowała się Mackenzie.

– Oj... – Przyłożył palec do warg. – Niedługo się dowiesz, ale najpierw lody.

Jeszcze nigdy nie zjadła lodów w takim tempie. John się nie spieszył, nawet zaprowadził Ruthie pod kran, by umyła ręce, zostawiając Mackenzie sam na sam z Reginą.

– Mam ci pogratulować? – zapytała Reggie.

– Nie wiem. – Wprawdzie John się otworzył, zaakceptował jej uczucie, mówił o wspólnej przyszłości, ale jego intencje nadal były dla niej tajemnicą.

– Ale go kochasz?

– Tak, jasne.

– On o tym wie?

– Tak.

Reggie odetchnęła z ulgą.

– Całe szczęście.

– Mamo, mamoo! – wołała Ruthie. – Jest ta papuga! Muszę się z nią przywitać! – Pobiegła w stronę grupki ciekawskich otaczających papugę i jej trenera. John przywołał je gestem, ale po drodze na moment zatrzymał Reginę, by coś jej szepnąć do ucha.

– Och! – wyrwało się jej, ale gdy Mackenzie spojrzała w jej stronę, przybrała poważny wyraz twarzy.

– Co się dzieje? – zapytała Mackenzie.

Regina położyła jej rękę na ramieniu.

– Chodźmy zobaczyć tę papugę. Dawno jej nie widziałam z tak bliskiej odległości.

– Dzisiaj – mówił strażnik przyrody – odbędzie się pewne wydarzenie.

Mam nadzieję, że papuga Marvin nam w tym pomoże. Kto się zgłasza na ochotnika?

Chętnych było mnóstwo, wśród nich oczywiście Ruthie. Strażnik rozejrzał się, po czym wskazał na nią. Rozpromieniona zaklaskała, a że John trzymał ją na rękach, razem wyszli na środek kręgu.

Ruthie nie mogła się powstrzymać, by jeszcze raz nie pogłaskać ptaszyska, ale tym razem papuga wyjęła z torebki nie karmę, lecz coś okrągłego i błyszczącego. Przechyliła głowę, po czym położyła to coś na otwartej dłoni Ruthie.

Regina pstrykała jedno zdjęcie za drugim, a stojąc strategicznie przed Mackenzie, doskonale widziała, co Marvin dał Ruthie. Olśniewająco piękny pierścionek z brylantem.

Potem John postawił Ruthie na ziemi, a sam przykląkł na jedno kolano przed Mackenzie. Zebrani zaczęli klaskać i pokrzykiwać, ale strażnik ich uciszył.

– Mackenzie – zaczął John, ujmując jej dłoń – jestem od ciebie uzależniony i mam nadzieję, że ty ode mnie też, bo cię pragnę. I nie tylko to. – Położył rękę na sercu, nie odrywając od niej wzroku. – Kocham cię do szaleństwa. I mam nadzieję, że zechcesz zostać moją żoną. – Czekał na jej odpowiedź, ale jej ze szczęścia odebrało głos.

– Mamo!!! – zawołała teatralnym szeptem Ruthie, przekazując mu pierścionek. – Mamo, masz powiedzieć „tak”!

– Hm... tak, oczywiście. – Mackenzie z miłością spoglądała na mężczyznę swoich marzeń. – Tak, John, tak.

Regina wytrwale fotografowała.

Wśród ogólnego aplauzu John wsunął Mackenzie pierścionek na palec, po czym wziął Ruthie na ręce i ustawił się między swoimi dziewczętami.

– Kocham cię – szepnął.

– Ja cię też kocham.

– A ja? – zaniepokoiła się Ruthie, więc oboje pocałowali ją w oba policzki.

– Ciebie kochamy najmocniej – powiedzieli zgodnym chórem, szczęśliwi jak nigdy w życiu.

TTLR

EPILOG

– Bierzesz ślub! Niesamowite, nareszcie jedna z nas wychodzi za mąż! – cieszyła się Regina, podskakując w niewielkim pomieszczeniu przy kościele pełniącym funkcję garderoby dla panien młodych.

– Jesteś gorsza od Ruthie – ofuknęła ją Bergan, wygładzając suknię Mackenzie. Cofnęła się na krok. – Wyglądasz cudownie. – Posłała jej całusa. – Piękna zawstydzona panna młoda.

Mackenzie wybuchnęła śmiechem, po czym popatrzyła na przyjaciółki. Każda była w innej sukni na jej życzenie, bo nie chciała, by czuły się skrepowane w dniu jej ślubu. Ich kreacje odzwierciedlały ich osobowość. Bergan wybrała obcisłą suknię w kolorze burgunda, Reggie blad różową z tiulową spódnicą za kolano i mnóstwem falbanek, a Sunainah piękne turkusowe sari.

Ale w oczach Mackenzie najpiękniejsza była suknia Ruthie. Dziewczynka uparła się, że chce wyglądać tak jak mama.

– Żebyśmy były jak bliźniaczki – wyjaśniła, gdy dwa miesiące wcześniej rozmawiały na temat przygotowań do ślubu. I tak krawcowej powierzono zadanie uszycia dwóch identycznych sukni ślubnych: jednej dla dorosłej kobiety, drugiej dla pięcioletniej dziewczynki.

Z surowego białego jedwabiu z rozcinanymi rękawami oraz długim trenem.

– Myślę, że to ja się najbardziej spodobam Johnowi – orzekła Ruthie, przeglądając się w lustrze. – Bo wyglądam jak królowa elfów.

Regina, śmiejąc się, stanęła obok Ruthie przed lustrem, po chwili dołączyła do nich rozbawiona Sunainah.

– Co my z nimi zrobimy? – Bergan zwróciła się do Mackenzie.

– Nie wiem. – Mackenzie spojrzała na swoją najstarszą przyjaciółkę. – Bergan, jak ja ci się odwdzięczę?

– Przestań! Nie zaczynaj. Wszystkie jesteśmy umalowane... a jak się rozplącę, to będę musiała malować się od nowa, a już nie ma na to czasu.

– Bergan, jak ja się cieszę z naszej przyjaźni...

– Przestań. – Bergan pociągnęła nosem. – Ja cię też kocham. To wspaniale, że nasza przyjaźń trwa od tylu lat i bla, bla, bla. Chodźmy już lepiej do pana młodego, który czeka na ciebie przed kościołem – zarządziła jak zwykle rzeczowym tonem, wprawiając Mackenzie w szampański nastrój.

– Ty możesz być następna – ostrzegła przyjaciółkę, która wybuchnęła śmiechem tak głośnym, że chyba rozbrzmiał w całym kościele.

– Zabawna jesteś.

– Staram się.

– Okej. – Bergan zaklaskała, po czym każdej z nich wręczyła wiązankę.

– Pan młody zaczyna się niepokoić – oznajmiła mistrzyni ceremonii, zaglądając do salki.

– Długo czekał na ten dzień – powiedziała z uśmiechem Mackenzie.

Przodem szła Regina, za nią Sunainah i Bergan. Mackenzie zatrzymała się w drzwiach pełnego gości kościoła i podała rękę Ruthie.

– Gotowa?

Ruthie przytaknęła.

– Mamo, jestem prze, prze, przeszczęśliwa.

– Ja też.

Uśmiechnięte, trzymając się za ręce, ruszyły nawą do ołtarza, by poślubić Johna.